

**KELLY JAMISON**

**Bez serca**

*(Heratless)*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poprzez otwarte drzwi do magazynu widział, jak kobieta metodycznie chodzi tam i z powrotem, ładując na podręczny wózek skrzynki plastikowych butelek z mlekiem. Jej długie, jasne włosy lśniły blaskiem szczerego złota. Złoty motyl, pomyślał Joe Douglas. Nic dziwnego, że brat był w niej tak zakochany. Obserwował nadal, a jego twarz zdradzała wyraźną niechęć na myśl o tym, co go tu przywiodło.

Ekspedientka, do której Joe zwrócił się po wejściu do sklepu, coś tamtej kobiecie szepnęła. Kobieta zmarszczyła brwi i spojrzała w stronę przybysza. Nawet z tak daleka dostrzegł głęboki błękit jej oczu. Zanim się na tym przyłapał, poczuł, że ogarnia go fala ciepła. Wspomnił jednak brata i ostygł.

Zerknął niecierpliwie na zegarek, potem na trzymaną w ręce torbę. Spotkanie z Lissą należało do mało przyjemnych. Kobiety w rodzaju Lissy Gray to kwiaty o zabójczej sile przyciągania, chciał więc jak najprędzej załatwić sprawę i wyjść. Gdyby nie Alex, nigdy by tu nie trafił.

– Nie wiem, kto to jest – powiedziała Bonnie Ann, popatrując na mężczyznę w dżinsach i roboczych butach. – Ale gdyby jakiś wysoki, przystojny samiec, taki jak ten, miał do mnie interes, to bym na pewno spytała, czego ode mnie chce. Może wygrałaś w totka?

– To nie jest Ed McMahan – odparła Lissa, patrząc na przybysza. – I chyba mu się tu nie podoba. – Pomyślała o wszystkich nie zapłaconych w ubiegłym miesiącu rachunkach i zrozumiała, że tym razem ją przyłapano. Facet wyglądał właśnie na kogoś, kto miał zamiar wydusić z niej pieniądze. Z miejsca, gdzie stała, jego oczy zdawały się niemal czarne. Poprzez oszklone drzwi za plecami mężczyzny świeciło popołudniowe słońce, ostro obrysowując jego sylwetkę.

– Wygląda na typa, który robi się tym wścieklejszy, im dłużej każą mu czekać – zauważyła Bonnie Ann, odwracając twarz okoloną czarnymi lokami, by dokładniej przyjrzeć się nieznanemu.

– To miło, że mi dodajesz odwagi – powiedziała sucho Lissa i wytarła dłonie w zielony żakiet od Duncana. – Uważaj, żebyś nie upuściła mleka na ziemię, wsadź je do lodówki.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta, koniec zmiany.

Bonnie Ann, po uwadze koleżanki na temat jej umiejętności przenoszenia mleka, westchnęła teatralnie i wypchnęła wózek za drzwi. Lissa uśmiechnęła się, ale uśmiech zgasł, gdy odwróciwszy głowę ujrzała, że jest przez nieznanego obserwowana. Kogoś jej przypominał, choć nie wiedziała, kogo.

– Czym mogę panu służyć? – spytała, stając przed nim i znowu wycierając dłonie w żakiet. Żeby mu spojrzeć w oczy, musiała podnieść głowę. Mierzyła sto sześćdziesiąt centymetrów, facet był od niej dużo wyższy. Z bliska spostrzegła, że oczy ma w istocie koloru ciemnego miodu, nieco jaśniejsze od gęstych, kręconych włosów. Zdała sobie niejasno sprawę, że musi to być jakiś robotnik. Jego dżinsy, mimo iż czyste, przeszły swoje w słońcu i

brudzie, podobnie jak wystające z nich buciory. Czarny sweter był nowszy – i drogi – należał do konfekcji lepszego gatunku, sprzedawała taką kiedyś pracując w stoisku odzieży męskiej.

– Jestem Joe Douglas – powiedział bez wstępów, czym ją ujął, a zarazem zaskoczył. Odniósł przez chwilę wrażenie, że jego słowa do niej nie dotarły. Istotnie, minęła chwila, zanim szepnęła, nagle olśniona:

– Joe Douglas... Jest pan... był... Alexa... – Bratem – dokończył za nią, ściągając ciemne brwi, jakby wypowiedziane właśnie słowo było cierpkie. Zacisnął szczęki i Lissa dostrzegła wyraźnie bruzdy wokół ust.

Nic dziwnego, że kogoś jej przypominał. Włosy miał ciemniejsze niż Alex, ale oczy takie same. Widziała Joego tylko jeden raz, zaledwie kilka minut. Poszła z Alexem do restauracji i ten przedstawił jej, z wyraźną niechęcią, swego starszego brata. Alex. Sama myśl o nim obudziła w niej dawny gniew.

– Przykro mi z powodu Alexa – powiedziała Lissa spokojnie. – Byłabym przyszła na pogrzeb, ale...

– Ale wówczas naruszyłyby pani własne zasady – znowu dokończył za nią.

– Proszę pana – fuknęła gniewnie, zarumieniona – przykro mi z powodu pańskiego brata. Jeżeli pan chce mi coś powiedzieć, to proszę mówić. Mam coś lepszego do roboty, niż sterczeć tu z panem i pozwalać, żeby się pan na mnie wyładowywał. – Patrzyła nań ze złością; ten kiepski dzień stał się nagle jeszcze gorszy. Oskarżając się o związek z Alexem Douglasem, spędziła zbyt wiele bezsennych nocy i bez wyrzutów ze strony jego brata. – A w ogóle, jak mnie pan tu znalazł?

– Administrator domu u Pittmana powiedział mi, że się pani przeniosła do Petersburga... Znalazłem adres w książce telefonicznej i rozmawiałem z właścicielką mieszkania.

– No dobrze, ale po co pan tu przyszedł? – Lissa spojrzała na Bonnie Ann, która przestała ustawiać skrzynki z mlekiem i bezwstydnie podsłuchiwała.

Sądził, że nie pamięta, jak lśniły wówczas jej błękitne oczy. Lissa Gray nie podobała mu się od chwili, kiedy mu ją Alex przedstawił ponad rok temu; nie spodobała się dlatego, że weszła między nich obu; nie spodobała się, ponieważ zadawała Alexowi tyle cierpień. Złamała mu życie. Teraz jednak, gdy stanęła przed nim z szeroko otwartymi płomiennymi oczyma, szczupłutka w talii ukrytej pod cudacznym zielonym żakietem, co najmniej o dwa numery za dużym, stwierdził, marszcząc brwi, że niełatwo mu przyjdzie podtrzymać tę niechęć w sobie.

Przyszedł tu, żeby jej przekazać papierową torbę.

– Chcę to pani oddać. – Wydobył tom wierszy w sztywnej oprawie i fotografię w ramce. Podał Lissie.

Poznała książkę. Ofiarowała ją kiedyś Alexowi na urodziny. Odwróciła ku sobie zdjęcie i spojrzała na nie najzupełniej obojętnie. Przedstawiało ją samą, obok samochodu, poważną. Trwało czas jakiś, zanim rozpoznała otoczenie. Przypomniała sobie niejasno, że wtedy Alex chciał skończyć film w aparacie. Ale dlaczego się do niego nie uśmiechała? Nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Czy to wtedy pokłóciła się z Alexem? Naprawdę nie mogła sobie tego przypomnieć. Być może dlatego, że czas leczy rany.

Poznała Alexa Douglasa po przenosinach do Pittmana, w stanie Missouri, gdzie zatrudniono ją w dziale odzieży męskiej. Przyszedł, by kupić sobie krawat na Boże Narodzenie, potem wrócił następnego dnia i zaprosił ją na przechadzkę. Spotykała się z nim od pięciu miesięcy, gdy dokonała dwu odkryć jednocześnie: że jest w ciąży i że Alex, spotykając się z nią, przez cały czas był związany z inną kobietą.

Intrygowało ją nawet, jak długo Alex potrafi prowadzić tę swoją podwójną grę. Być może sądził, że zerwie z Lissą, zanim ona wykryje zdradę. Tak czy owak, pewnego wieczoru nie proszona poszła do jego mieszkania, nigdy przedtem czegoś podobnego nie robiła. Nie postąpiłaby tak również wtedy, ale właśnie była u lekarza, który potwierdził ciążę. Musiała o tym powiedzieć Alexowi.

Zaparkowała samochód w cieniu po drugiej stronie ulicy i już miała wysiąść, gdy otwarły się drzwi frontowe i wyszła z nich długonoga brunetka, zatrzymując się na chwilę, by wymienić z Alexem długi pocałunek. Kobieta obeszła swój wóz, wyciągnęła dłoń ku klamce, promień słońca odbił się w zaręczynowym pierścionku na jej lewej dłoni. Lissa siedziała w samochodzie jeszcze długo po odjeździe brunetki, po czym ruszyła ociężale ku drzwiom Alexa i bez wstępów zapytała, co jest grane.

Przyznał się nader łatwo. Tak, był zaręczony. Przykro mu, że to odkryła. Nie, po prostu zakładał, że z Lissą będzie tak, jak dotychczas. Przecież nigdy nie rozmawiali o małżeństwie.

Lissa postąpiła w jedyny sposób, na jaki było ją stać: zerwała z Alexem wszelkie stosunki, porzuciła pracę w sklepie, wróciła do Petersburga odległego o sto trzydzieści kilometrów. Nie powiedziała mu o ciąży. Tuż przed urodzeniem Suzanne, siedem miesięcy temu, przeczytała, że Alex zginął w wypadku samochodowym. Nadal była na niego zła za jego zdradę i zła na siebie za to, że dała się tak naiwnie oszukać mężczyźnie tylko dlatego, że wyglądał na uczciwego.

A teraz stał przed nią Joe Douglas, patrząc takimi samymi oczyma, jakie niegdyś zwabiły ją do łóżka Alexa. Różniły się tylko tym, że tlił się w nich gniew, gniew skierowany ku niej. Domyślała się, co Joe może sądzić o jej stosunkach z bratem; niewątpliwie Alex często mijał się z prawdą, by przedstawić się w jak najlepszym świetle. Był typem mężczyzny, który zawsze pociągał kobiety. Klócili się bez przerwy, bo zachowywał się jak bezczelny podrywacz. To, co o niej myślał Joe Douglas, nie ma znaczenia.

A jednak, gdy spojrzała w jego oczy o barwie miodu, od razu zrozumiała, że ma to dla niej znaczenie.

– Dlaczego pan mi to przyniósł? – spytała, nie rozumiejąc, o co mu właściwie chodzi.

Patrzył na nią uważnie.

– Przeglądałem rzeczy Alexa, nie chciałem zatrzymywać niczego, co jest cudzą własnością. – Położył nacisk na słowo: cudzą.

Pojęła natychmiast tę dobrze przemyślaną aluzję. Poczwała na twarzy rumieniec. Pogardę Joego dla jej związku z mężczyzną, który należał do innej, odebrała jak policzek.

Drżącymi palcami odwróciła zdjęcie i wyrwała je z ramki razem z tekturką.

– Proszę to zabrać – powiedziała ostro, oddając mu ramkę. – Nie chcę mieć niczego, co należy do pana.

– Nie musi pani... – zaczął, ale mu przerwała.

– Proszę to wziąć!

Na widok jej zagniewanej twarzy odczuł coś w rodzaju satysfakcji. Była zła, urażona, on zaś nie cofnął rzuconych słów.

Alex powiedział mu kiedyś, że Lissa to typ kobiety roztaczającej wokół niezwykle czar. Nawet biorąc poprawkę na jego skłonność do wyolbrzymiania damskich powabów, Joe stwierdził, że brat nie minął się z prawdą. Była kobietą piękną, zdradziecką. Joe powiedział otwarcie po poznaniu Lissy przed ponad rokiem, że nie pochwała tego związku. Alex tłumaczył, że z Lissą ma tylko przelotny romans. Ale gdy go odtrąciła, był już tak nią zauroczony, że narzeczona wyczuła, iż musi istnieć ktoś trzeci i zerwała zaręczyny. Potem Alex zaczął się staczać. Pił coraz więcej, aż tamtej nocy jego samochód wpadł w poślizg. Zginął na miejscu. Zawartość alkoholu w jego krwi przekraczała wszelkie dopuszczalne normy.

Joe był więc przeświadczony, że za tragedię brata należy winić stojącą przed nim kobietę; kobietę, która wgryzła się w jego życie jak robak i zniszczyła je.

Powoli dotknął ramki, celowo chwytając przy tym jej palec. Wyczuł, że jest speszona. Przytrzymał dłoń Lissy z rozmysłem, doskonale zdając sobie sprawę, że to wyzwanie. No, naprzód, Lissa Gray, spróbuj ze mną. Ze mną nie pójdziesz ci tak gładko, jak z moim bratem. Uświadomił sobie nagle, że nie ma nic przeciwko temu, by zechciała wypróbować na nim swoje czary. Uwolnił jej palce, a ona je natychmiast cofnęła. Patrzyła na niego, bezwiednie ocierając dłoń o żakiet. Oczy, w których nie dostrzegł nawet skry przebiegłości, wpatrywały się weń z czymś więcej niż drobna uraza. Był ciekaw, co ta dziewczyna właściwie o nim myśli.

Mógł wyjść natychmiast, opuścić sklep nie spojrzawszy za siebie. Zrobił, co miał zrobić. A jeśli Lissa poczuła się urażona jego słowami, to cóż, zasłużyła na to. Pozostawała już tylko sprawa pieniędzy, jakie był jej winien brat. Joe mógłby jej przesłać czek, wówczas miałby Lissę Gray z głowy na zawsze.

Coś go jednak zatrzymywało: nie mógł oderwać wzroku od jej przepastnych jak morze oczu. Pomyślał, że dobrze by było zobaczyć te błękitne oczy w chwili miłości. Wyobrażał sobie, jak posłużyła się swoimi wdziękami, by usidlić Alexa, a jednak nagle zapragnął ujrzeć jej gibkie, wyczekujące ciało we własnym łóżku.

Lissa zauważyła oczywiście owo jawne zainteresowanie Joego Douglasa i to rozeźliło ją jeszcze bardziej. Ale zanim zdołała wypowiedzieć bodaj słowo, przypomniała sobie o kręcącej się Bonnie Ann, westchnęła więc tylko i przestąpiła z nogi na nogę.

– Dziękuję za książkę i zdjęcie – powiedziała oficjalnym tonem, odchodząc. Odwrócił się ku drzwiom, a wtedy Lissa odetchnęła z ulgą. – O co chodzi? – zwróciła się do Bonnie Ann, głosem jeszcze pełnym gniewu na Joego Douglasa.

– Dziecko – przypomniała jej Bonnie Ann, spoglądając w stronę lady. – Ty po nią pójdziesz czyja mam iść?

Lissa spojrzała na Joego po raz ostatni i zniknęła za kontuarem.

Na widok matki, siedząca w nosidelku na podłodze Suzanne otworzyła w uśmiechu buzię

i wyciągnęła pulchne rączki. Od razu przestała marudzić.

– Myślałaś, że cię zostawiam z Bonnie Ann, prawda? – Z uśmiechem pochyliła się nad dzieckiem. Dziewczynka była uszczęśliwiona. – Biedne maleństwo!

– Z ciotką, która może mieć na nią zły wpływ. Nigdy – powiedziała Bonnie Ann, robiąc zabawną minę. Dziecko zaczęło radośnie gaworzyć. – Możesz już iść. Czy wieczorem, kiedy pójdziesz na kurs, posiedzi przy niej pani McGee?

Lissa skinęła głową, podniosła nosidelko oraz torbę z pieluszkami i ruszyła ku wyjściu.

– Do zobaczenia.

Kiedy otworzyła drzwi, omal nie wpadła na Joego. Zatrzymała się w porę, wzięła w garść, gotowa na kolejną zniewagę, którą mogłaby usłyszeć na pożegnanie. Czuła, że brak jej tchu, że serce wali jak młotem, przecież nie z powodu ciężaru dziecka i torby z pieluchami.

Joe jednak nie powiedział nic, po prostu gapił się na nią i niemowlę, jakby usiłował rozwiązać jakąś łamigłówkę. Lissa dostrzegła w jego oczach pytanie, ale nie zamierzała odpowiadać. Uniósłszy nieco podbródek, przecisnęła się obok i pchnięciem biodra otworzyła drzwi.

Idąc do samochodu miała wrażenie, że słyszy za sobą jego głos, ale nie rozróżniała słów.

– Zaczekaj. – Tylko to był w stanie powiedzieć, chociaż nie wiedział, co by zrobił, gdyby rzeczywiście przystanąła. Co byłby uczynił, gdyby się dowiedział, dlaczego porzuciła posadę kierowniczkę sklepu, a przyjęła pracę zwykłej ekspedientki, i czyje to dziecko? Niepokoiło go właśnie to dziecko. Nachmurzony wszedł do swego pickupa. Wsadził kluczyk do stacyjki. Nie uruchomił jednak silnika. Siedział tak jeszcze pięć minut później, kiedy Bonnie Ann wyjrzała przez okno.

Lissa zupełnie nie mogła się skupić na sprawunkach, z roztargnieniem popychała już wózek w stronę kasy, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie ma w nim właśnie tego, po co tu głównie przyszła – soku pomarańczowego. Mogła wprawdzie kupić ten sok u siebie w sklepie, ale tu zawsze był większy wybór, tu mogła dostać sok najbardziej odpowiedni dla dziecka. Silnik samochodu zgasł w drodze do domu, ale opatrność nad nią czuwała, jakoś udało się ponownie go uruchomić. Na naprawę auta nie mogłaby sobie pozwolić.

Pół godziny później wjechała na mały, zwirowany plac parkingowy za domkiem i zaczęła wypakowywać bagaże. Majowe wieczory w Missouri wypełniały dźwięki i zapachy. Lissa przystanąła na chwilę, by odetchnąć aromatem kapryfolium i posłuchać kumkania żab.

– Ja zaniosę zakupy, a ty zajmiesz się pieluchami – powiedziała do dziecka. Zaśliniona Suzanne radośnie wkładała sobie do buzi gry żaczek. Lissa uśmiechnęła się, podniosła córeczkę, torbę z zakupami i wełniany płaszcz, który powinien przetrwać jeszcze jedną zimę, bo właśnie został wyczyszczony i pocerowany.

Dom był małym, ceglany, jednopiętrowym budyneczkiem, należącym do pani Polly McGee. Kiedy przed z górą rokiem Lissa uzgadniała warunki wynajmu jednego z dwu mieszkań na pięterku, uznała, że musi uprzedzić panią McGee, iż jest w ciąży. Pani McGee ujęła w dłonie rękę Lissy, uśmiechnęła się i obniżyła czynsz. Drugie mieszkanie gwałtownie wymagało remontu i stało puste, Lissa miała więc do dyspozycji całe piętro. Żelazny balkon biegł wzdłuż tylnej ściany domu, Lissa lubiła siadywać na nim wieczorami z dzieckiem. Pani

McGee uwielbiała Suzanne i chętnie doglądała jej, za mniej niż minimalną opłatę, kiedy Lissa szła do pracy lub na zajęcia. Układ był więc doskonały, zupełnie taki, jak z babcią.

Lissa miała mieszkanie, opiekunkę do dziecka i pracę na pół etatu, która pozwalała jej na dalsze studia w miejscowej uczelni. Nie była jednak całkiem szczęśliwa – zastanawiała się często, czy ta jej szamotanina ma jakikolwiek sens. W dwudziestym dziewiątym roku życia wzięła na swoje barki brzemień samotnego macierzyństwa. Nie bacząc na zmęczenie, na ilość zjedanego makaronu z serem, za żadne skarby nie zwróciłyby się do Douglasów o pomoc. Może nawet Alex byłby dobrym ojcem, ale byłby nim tylko z poczucia obowiązku. Z pewnością tak też traktowałyby to jego rodzina.

Z wysiłkiem pokonała piętnaście schodków wiodących na piętro. Klatka schodowa była ciemna i nieco wilgotna, ale Lissa, znając drogę na pamięć, tylko czasem zapalała światło. Dlatego też teraz, ujrawszy za załomem poręczy jakiś cień, krzyknęła przeraźliwie.

Suzanne na ten matczyzny okrzyk otworzyła szeroko oczka i zanosła się przeciągłym płaczem.

Strach ustąpił miejsca wściekłości, gdy rozpoznała Joego Douglasa.

– Co pan tu robi? – spytała oburzona, równocześnie łagodnie kołysząc w ramionach dziecko, by ucichło. Miała dość tego człowieka, a widząc go we własnym domu uznała, że przebrał miarę.

– Nie jestem workiem wczorajszych śmieci, które ktoś zostawił przed pani drzwiami – powiedział wyraźnie speszony.

Lissa uniosła nieco brwi i zawróciła.

Zapamiętał, że w sklepie zachowywała się poprawnie, a ta przybrana teraz odpychająca i niedostępna poza zupełnie do niej nie pasowała.

Postawiła nosidełko z dzieckiem na podłodze i okazując Joemu zupełne lekceważenie, usiłowała wsunąć klucz do zamka. Było to trudne, ponieważ raz po raz przesłaniał jej słabnące światło padające z okna w korytarzu. Był najwyraźniej równie zdenerwowany jak Lissa. Opanowując się, raz jeszcze spróbowała trafić kluczem do zamka.

– Czy mógłby pan na chwilę przestać się ruszać?

– Dlaczego? – spytał podejrzliwie.

– Ponieważ nie mogę trafić kluczem w zamek, gdy pan co sekundę przesłania mi światło.

Znieruchomiał więc, wyglądał na strapionego, potem zaczął się niecierpliwić, aż w końcu Lissa pchnięciem biodra otworzyła drzwi. Złożyła zakupy i torbę z pralni na kuchennym stole. Trzymając nadal w ramionach Suzanne, surowym tonem zwróciła się do Joego:

– No więc, co pan tu robi?

– Czy ta ekspedientka w sklepie jest pani przyjaciółką?

– Bonnie Ann – podpowiedziała Lissa, chcąc się go jak najprędzej pozbyć.

– Tak, ona. Ta ciemnowłosa. Pije kawę i bez przerwy papie. Wyszła i powiedziała mi, że pani to zostawiła na ladzie. – Trzymał w dłoni należący do Lissy podręcznik historii.

– Po co to panu dała? – spytała Lissa podejrzliwie.

– Skąd mam wiedzieć? – Niecierpliwił się coraz bardziej. Nie miał zamiaru tu przychodzić. – Może pomyślała, że jesteśmy przyjaciółmi.

Lissa zacisnęła wargi, próbując patrzeć na Joego Douglasa nieco łagodniej, co przychodziło jej z coraz większym trudem. W pewnej chwili pomyślała, czy on zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest pociągający. Był przystojniejszy od brata, a Alex uważał, że nie można mu się oprzeć.

– Dziękuję za książkę – powiedziała szorstko. – Pan się już pewnie bardzo śpieszy.

Nie drgnął nawet, tkwił w jej kuchni, wyraźnie wściekły. Chciała się odwrócić plecami, ale stwierdziła, że nie może oderwać od niego wzroku. Miodowy połysk jego oczu, przepełnionych teraz gniewem, hipnotyzował. Alex mówił o swoim starszym bracie bardzo niewiele, ale obliczyła w myślach, że Joe musi mieć około trzydziestu pięciu lat. Był od Alexa znacznie przystojniejszy. Jego twarz miała twarde, męski wyraz, a ciało musiało pociągać kobiety, jak nektar przyciąga pszczoły.

Nie myśl o nim w ten sposób, ostrzegł ją wewnętrzny głos. Nie wpadaj w sidła kolejnego Douglasa. Joe Douglas jest z pewnością tak samo zepsuty i pozbawiony zasad jak brat. Sterczał w jej kuchni, ponieważ czegoś od niej chciał. Ona jednak nie miała zamiaru niczego mu ułatwiać, cokolwiek by to było. Nie miała niczego do zaoferowania. W końcu oderwała wzrok od jego twarzy i spojrzała na dziecko, po czym posadziła je w wysokim foteliku. Podeszła do kredensu, żeby przygotować obiad.

Przez chwilę Joe obserwował ją w milczeniu. Najwyraźniej robiła wszystko, żeby go trzymać na dystans. Najwyraźniej nie chciała mieć z nim w ogóle do czynienia, on zaś nic z tego nie rozumiał. Pomyślał, że powinna mu jakoś pomóc. Był tu osobą zbędną, ale był też człowiekiem, którego brat stracił życie przez Lissę Gray. Ale Lissa wyraźnie nie miała żadnych wyrzutów sumienia, Joe czuł więc, że traci cierpliwość. Pohamował gniew, usiadł na krześle i patrzył, jak dziewczyna sprawnie przygotowuje posiłek.

– Ciąga pani dziecko ze sobą do pracy i do szkoły? – spytał ironicznie.

– Pani McGee, moja gospodyni, często pilnuje dziecka – odparła. Gdyby nagle nie zacisnęła dłoni na drzwiach kredensu, nie domyśliłby się nawet, jak bardzo ją tym pytaniem dotknął. – Czy to pana zadowala?

Nie czekając na odpowiedź, szybko otworzyła puszkę z jakąś zupą, po czym zerwała patelnię z haka nad zlewozmywakiem.

Zmarszczył brwi i pochylił się do przodu, by oprzeć na udach łokcie. Czuł, że jego gniew łagodnieje. Była piękną kobietą z dzieckiem, pracującą i uczącą się, ale najwyraźniej z kamiennym sercem.

Nagle usłyszał szybkie tykanie zegara wiszącego gdzieś w niewielkiej kuchni. Odpowiedział powoli i z namysłem:

– Nie obchodzi, mnie co pani robi z dzieckiem. Jestem tu, bo budujemy most łączący Petersburg z autostradą po drugiej stronie rzeki. Pomyślałem, że ponieważ i tak będę w mieście... – Wzruszył ramionami, przerwawszy w połowie zdania.

– Pomyślał pan sobie, że przyjdzie pan tu i powie, co o mnie myśli? – Nie odwróciła się od kuchenki, ale usłyszał nutę goryczy w jej głosie.

– Coś w tym rodzaju – przyznał, zauroczony linią jej ramion i błyskawiczną ripostą. Ta dziewczyna potrafi się bronić. Świadczyła o tym już sama jej postawa, ton głosu i sposób, w



jaki się poruszała. Zachowywała się tak, jakby czekała na kolejny atak, gotowa go odeprzeć. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy Suzanne zaczęła marudzić.

– Czy nie czeka na pana przypadkiem szef? – spytała, wyjmując dziecko z fotelika i kołysząc.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic z tego. To ja jestem właścicielem firmy. I nie wyjdę stąd, dopóki pewnych spraw nie wyjaśnimy.

Posiada własną firmę, pomyślała. No tak, to tłumaczy cenę jego swetra. I jego sposób bycia. Najwyraźniej przywykł do tego, że wszyscy go słuchają. Był też zdecydowany ugnieść ją tak, by zmiękła.

– Jeśli chodzi o mnie, nie mam nic do wyjaśniania – odparła. – Jeśli pan ma w zapasie kolejne zniewagi, może pan je spisać. Przeczytam później, to nam obojgu zaoszczędzi czasu. A teraz, pan wybaczy, muszę przewinąć dziecko.

Lissa nie chciała kłótni z tym mężczyzną. Nie była w stanie wyrzucić go z mieszkania, ale nie miała też zamiaru niczego wyjaśniać. Po prostu wzięła dziecko i wyniosła do pokoiku za kuchnią.

Gdy kładła małą w łóżeczku i owijała pieluszką, opadła ją straszliwa myśl. Co będzie, jeśli sobie wyobraził, że ona należy do tego rodzaju kobiet, które oddają się każdemu mężczyźnie? Co się stanie, jeśli przyszedł, by zaciągnąć do łóżka eks-kochankę własnego brata? Ale czy mężczyzna darzący ją tak wyraźną niechęcią, mógłby mieć ochotę na pójście z nią do łóżka?

Nie rozwiązał jej obaw dobiegający zza pleców głos:

– Czy odstawiła pani Alexa z powodu pieniędzy?

– Co takiego? – spytała, całkowicie zaskoczona tym pytaniem.

– Alex pożyczał od pani pieniądze – powiedział ostro. – Znalazłem w jego papierach zrealizowane чеки. Czy o to chodziło? Nie był dla pani dość dobrą partią? – Rozejrzał się z niesmakiem po małym mieszkanku. – Jeśli szukała pani lepszego kęsa, popełniła pani błąd. Trzeba było skierować swoje zachłanne oczęta na mnie, a nie na niego.

Lissa naciągnęła plastikowe majtki na czystą pieluszkę niemowlęcia, starając się opanować. Gdy skończyła przewijanie dziecka, odezwała się spokojnym głosem.

– Nie szukam dobrej partii – mówiła cicho. – A gdybym szukała, z pewnością nie pana brałabym pod uwagę.

– Nie? – spytał miękko, wspominając wyraz jej twarzy, gdy przy podawaniu ramki zacisnął palce na jej dłoni. – Może powinna to pani przemyśleć raz jeszcze.

Wpatrywał się w nią wyzywająco, wytrzymała to i odpowiedziała spojrzeniem tak gniewnym, jakby miała zamiar uderzyć go w twarz.

Poczuła swąd przypalanej zupy, szybko okryła dziecko kocykiem i z uczuciem ulgi pobiegła do kuchni. Nie dbała o opinię Joego Douglasa. Przyszedł tu, żeby wyładować się potępiając ją, ale miała to w nosie. Nie zniosłaby, gdyby spróbował jej dotknąć. Miała słabość do Alexa, ale w głębi duszy wiedziała, że Joe, gdyby tylko zechciał, podziałałby na nią jeszcze bardziej zniewalająco.

Gdy wszedł za nią do kuchni, poczuła na sobie jego spojrzenie, ale z premedytacją lekceważyła jego obecność, próbując ratować kipiącą zupę.

– Jak dziecko ma na imię? – spytał znienacka. Zesztywniała. Od chwili gdy tu wszedł, obawiała się przede wszystkim pytań o dziecko.

– Suzanne – odpowiedziała, smarując masłem chleb.

– Ile ma miesięcy? Zawahała się, po czym odparła:

– Siedem.

– Ma takie włosy jak pani.

A oczy ojca, pomyślała Lissa. Odwróciła się, by spojrzeć na Joego.

– Ma dobrą opiekę – dodała uprzedzając atak.

– Choć musi żyć w skromnych warunkach – powiedział sucho, lustrując miniaturową kuchenkę. – Dlatego używa pani zwykłych pieluch. To przecież dodaje pracy. Nie stać pani na jednorazowe?

Zaskoczył ją tą uwagą i dał poznać, że skrupulatnie analizuje każdy szczegół jej życia i znajduje braki.

– To dodatkowe zajęcie – zgodziła się – ale pani McGee ma pralkę i suszarkę w piwnicy. Używam pieluch jednorazowych tylko wtedy, gdy jestem z dzieckiem poza domem. – Spojrzała na niego; dostrzegł w tym spojrzeniu rozbawienie. – Coś jeszcze chciałby pan wiedzieć? O moich dochodach, stanie zdrowia, może o poglądach na temat moralności?

– Wiem już wszystko o pani zapatrywaniach na kwestie moralne – palnął.

Lissa poczuła, że błędnie. Sama go sprowokowała, więc tym większym zapalała gniewem.

– Wiem, co pan o mnie myśli – odparła, panując nad sobą w miarę możliwości. – I szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Chcę, żeby pan sobie już poszedł i nie mam ochoty już nigdy pana widzieć. Jasne?

– Jak słońce – odciął się. – Oto mały pożegnalny podarunek, który powinien panią nieco rozchmurzyć. – Wyciągnął z kieszeni jakieś banknoty i rzucił na stół.

– Co to ma znaczyć? – obruszyła się.

– Pieniądze, które dała pani Alexowi. Sto dolarów. Należą się pani.

– Nie chcę pańskich pieniędzy – odparła chłodno. Alex pożyczył te dolary na krótko przed tym, jak dowiedziała się o istnieniu jego narzeczonej. Mówił, że ich potrzebuje na naprawę samochodu.

Chwyciła pieniądze i cisnęła je w twarz Joego. Złapał je w locie i patrzył na nią oszołomiony. Wybiegła z kuchni nawet na niego nie spojrzawszy.

Joe stłumił w sobie chęć odwetu. W duchu przyznał, że ją tymi pieniędzmi upokorzył. Oczywiście, potrzebowała pieniędzy, na własne oczy zobaczył, w jakich żyje warunkach, ale była zbyt dumna, żeby je przyjąć. Do diabła z nią i jej ciętym językiem. Najbardziej irytowało go to, że wbrew całej niechęci, każde spojrzenie na nią potęgowało w nim pospolitą żądzę. Owładnęły nim dwa uczucia. Chciał się zemścić za jej przewrotność, a zarazem pragnął dotknąć ustami jej szyi, pieścić rękoma te niebywale złote włosy. Na samą myśl o dotykaniu

jej ramion i całowaniu ust czuł skurcz żołądka. W co go ten Alex wpakował! Był wściekły, gdy kiedyś brat poprosił go o uporządkowanie rachunków. Wpadł w furję znalazłszy zrealizowany czek Lissy. Teraz był wściekły na siebie, że w tak nikiemny sposób zwrócił jej te pieniądze. Powinien był je przesłać pocztą, to pozwoliłoby uniknąć osobistego z nią spotkania.

Pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia.

– Halo, halo! – zawołał głos, który należał do właścicielki domu.

– Niech pani wejdzie, pani McGee! – odrzyknęła Lissa i ruszyła ku drzwiom, a mijając Joego mimochodem zajrzała mu w twarz. Zerknęła na zegarek. – O Boże, jestem spóźniona!

Pani McGee wkroczyła w chmurze zapachu wody kolońskiej. Była to osoba o obfitych kształtach, odziana w różowe elastyczne spodnie i pstrokatą bluzkę.

Nie zaskoczył jej widok Joego, po prostu wzięła od Lissy dziecko, a jemu posłała uśmiech.

– Halo, no cóż, panie Douglas. Widzę, że pan znalazł Lisę.

– Tak, znalazłem. – I nie chciałbym jej nigdy więcej widzieć, pomyślał.

Lissa biegła po mieszkaniu, zakręciła gaz, chwyciła notes i parę książek.

– Muszę już iść! – rzuciła w stronę pani McGee i ruszyła ku drzwiom. – Jeśli jest pani głodna, na kuchence jest trochę zupy i przypieczony sandwicz z serem. Niestety, wszystko się przypaliło. Suzanne jadła dwie godziny temu.

Chwilę później już była za drzwiami, a pani McGee nadal uśmiechała się pogodnie do Joego.

– No, zupa pachnie nawet dość smakowicie – stwierdziła i było to zgodne z prawdą.

Joe nie odpowiedział. Skinął głową i wyszedł za Lissą. Dopędził ją już przy samochodzie.

Słyszając jego kroki na żwirze, odwróciła się przestraszona. Dręczyło go tylko jedno pytanie. Zwlekał z nim już dość długo. Chciał je zadać od chwili wyjścia ze sklepu.

– Kto jest ojcem tego dziecka?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Spostrzegłszy nagle, że zajęcia z literatury angielskiej właśnie dobiegły końca, Lissa westchnęła. Nie słyszała niemal ani słowa wykładu. Teraz będzie musiała brnąć poprzez *Lorda Jima* po omacku, bez należytej wiedzy o symbolizmie, a tylko z własną wyobraźnią, która od poniedziałkowego wieczoru, kiedy zmroziło ją pytanie Joego Douglasa – kto jest ojcem Suzanne, pracowała ponad normę.

Przecież wiedział.

Oczywiście, że wiedział. Nie był głupi. Znając wiek Suzanne, musiał się wszystkiego domyślić. Nie mogła tego zmienić ani brakiem odpowiedzi, ani trzaśnięciem drzwiami samochodu i ruszeniem z piskiem opon, spod których strzeliły gejzery żwiru.

Przypuszczała, że się odezwie lub zjawi wczorajszego wieczoru, więc żeby uniknąć spotkania, poszła po pracy do biblioteki. Gdy odbierała Suzanne z rąk pani McGee, gospodyni potwierdziła, że Joe kręcił się w pobliżu. Nie, nie powiedział, o co mu chodzi.

Lissa nie była pewna, czy naprawdę chciałaby to wiedzieć. Z pewnością nie potrzebowała żadnego Douglasa w życiu swego dziecka, a Joe niemal jasno dał do zrozumienia, co o niej myśli. Pragnęła więc tylko, by dał im obu święty spokój.

– Liso, śpisz? – usłyszała czyjś zniecierpliwiony głos. – Gadam do ciebie od dwóch minut, a ty nic, tylko się gapisz przed siebie.

Lissa podniosła oczy i ujrzała Bonnie Ann, która stała nachmurzona nad jej pulpitem.

– Przepraszam – powiedziała, zamykając notesik i wstała. – Widocznie się zamyśliłam.

– Czy czasem nie marzysz o pewnym długonogim, przystojnym facecie w dzinsach? – zgadywała Bonnie Ann z pełnym ironii uśmiechem.

– Nawet mi o nim nie wspominaj! Nie zrobiłam ani jednej notatki, która by mi pomogła przebrnąć przez *Lorda Jima*.

– Nie przejmuj się. Przepiszę ci moje notatki.

– Wykonała piruet i wrzuciła do kosza pusty papierowy kubek po kawie.

Posiadanie przyjaciółki uzależnionej od kofeiny ma pewną zaletę, myślała Lissa. Bonnie Ann musiała się ruszać, żeby spalić nadmiar rozpieszczającej ją energii i zawsze z jednakową uczynnością dzieliła się zarówno notatkami, jak drugim śniadaniem. Czasem też telefonowała rano, żeby zbudzić Lisę.

– Marzę o tym, żeby już się znaleźć w domu – powiedziała Lissa, gdy wraz z Bonnie Ann wyszły z gmachu uczelni i owionęło je świeże wiosenne powietrze. Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

– Co za zbieg okoliczności – odezwał się męski głos.

– Ja także.

Lissa otworzyła szeroko oczy i u dołu schodów zobaczyła Joego, stojącego z rękoma w kieszeniach czarnej skórzanej kurtki.

Zaniemówiła, przypisując nagły łomot serca wstrząsowi, doznanemu na jego widok. Bonnie Ann zbiegała po schodach z werwą dwudziestopięciolatki po trzech kubkach kawy.

– Jak to miło spotkać niespodziewanie kogoś sympatycznego, no nie, Lisso? – zawołała już z dołu.

– Naprawdę wspaniale, no nie?

Lissa schodziła powoli. Joe nie odrywał wzroku od jej twarzy. Jego oczy miały teraz barwę jabłkowego moszczu.

– Chyba lepiej pojedę z tobą, Bonnie Ann – powiedziała Lissa. – Muszę jechać do domu i przygotować się do jutrzejszych zajęć.

Bonnie Ann patrzyła to na jedno, to na drugie; raz na zamyśloną twarz Lissy, raz na poważną Joego. Potrząsnęła głową.

– Muszę wstąpić do sklepu, po kakao. Mam upiec ciasto na urodziny sąsiadki. Jeśli się pośpieszę, zdążę jeszcze wskoczyć do pasmanterii i kupić suwak do wieczorowej sukni, którą sobie sama szyję. Muszę umyć i nawoskować wóz. Więc lepiej się przejdź, Lisso. Do zobaczenia! – Pomachała dłonią na pożegnanie i pobiegła ku parkingowi, porzucając rozżaloną Lissę na pastwę losu.

– Czy ona naprawdę to wszystko zrobi? – spytał Joe z udawanym niedowierzaniem.

– O tak – zapewniła go Lissa. – Jej się wszystko w rękach pali!

Po raz pierwszy dostrzegła na twarzy Joego cień uśmiechu, który jednak szybko znikł. Mimo to poczuła, że jej serce znowu zaczyna szaleć. Miał wspaniałe usta! Wabiły i... zdawały się lekkomyślne.

Lissa, idąc obok, była rada, że już nie musi patrzeć na tego mężczyznę. Czuła się odrobinę nieswojo, będąc tak blisko niego i wdychając lekki, a tak bliski zapach piżma. Miał długie nogi, musiała więc iść bardzo szybko, by dotrzymać mu kroku, aż w końcu spostrzegł, że ją męczy i zwolnił. Rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie i dostrzegła zmarszczki w kącikach oczu, a na policzku bruzdę, która świadczyła, jej zdaniem, o poczuciu humoru. Zabawne. Nie wyglądał na człowieka, który często się śmieje. Ale w końcu nie szukał jej dla zabawy. Wręcz odwrotnie.

Przeszli w milczeniu dwie przecznice, Lissa skuliła się raczej z obawy przed pytaniami, jakich się z jego strony spodziewała, niż z powodu zimna.

– Cóż to – powiedział nagle przystając. – Dlaczego nie mówisz, że zmarzłaś?

– Nie jest mi zimno – zaczęła, ale jej przerwał.

– Lisso, jest ci zimno – oznajmił głosem nie znoszącym sprzeciwu. Zerwał z ramion kurtkę. – Masz. – Nawet nie drgnęła, podał jej więc okrycie. Wkładała je na ramiona powoli, czując ciepło kurtki i emanujący z niej zapach mężczyzny.

Przystanął przed kafejką i skinieniem głowy wskazał otwarte drzwi.

– Nie wiem jak ty, ale ja bym się czegoś napił. Lissa pomyślała, że wolałaby coś mocniejszego od kawy, ale weszła do środka.

Joe oparł dłoń na jej ramieniu, jakby szli do alkowy. Poczowała rozkoszny dreszcz tak silny, że omal głośno nie westchnęła. Nie doznała podobnego wstrząsu od...

Od chwili gdy Alex Douglas wszedł do jej sklepu i tak samo dotknął jej ramienia.

Lissa gwałtownie uwolniła ramię z uścisku Joego, udając, że chce otworzyć torebkę. Usiadł po drugiej stronie stolika, nie odrywając od niej wzroku.

– Ja płacę – powiedział ostro. – Nie musisz sprawdzać stanu swoich finansów. – Wyciągnął ramię, by powstrzymać jej grzebiące w torbie palce, ale się wstrzymał, nie dotknąwszy ich nawet. Lissa spojrzała na niego i zamarła. Jego twarz pałała gniewem, ściągnął ciemne brwi i zacisnął usta. Oczy miały barwę rzeki zmętniałej po deszczu.

– To tylko kawa – powiedział chłodno. – Nie wystawię ci rachunku za filiżankę kawy. – Wyczuła w jego głosie urazę i zrozumiała, że Joe widzi, iż ona nie chce zawdzięczać Douglasom dosłownie niczego. Zrozumiał i poczuł się urażony.

W końcu zdołała oderwać wzrok od jego oczu. Udawała, że czyta zawieszony nad bufetem ręcznie wypisane menu. Kelnerka posłała jej szeroki uśmiech i spytała, co zamawiają. Joe poprosił o dwie kawy. I zagadnął znienacka:

– Jadłaś kolację?

Zaskoczył ją tym pytaniem, ale skinęła głową.

– Coś tam łyknęłam przed zajęciami.

– Ja nie – powiedział. Zamówił podwójnego hamburgera z frytkami, po czym spojrzał na Lissę. – Pani także proszę podać hamburgera – dodał.

Nim Lissa zdążyła zaprotestować, kelnerka odeszła.

– Wątpię, czy miałaś czas, by zjeść coś bodaj przypominającego obiad – powiedział, uprzedzając sprzeciw.

Miał rację. Wypiła tylko szklankę mleka. Ale nie chciała się do tego przyznać.

– Nie jestem głodna – upierała się nadal. – I muszę już iść. – Spojrzała na zegarek, ale w roztargnieniu nie dostrzegła nawet godziny. Joe Douglas wyprowadzał ją z równowagi po mistrzowsku. Zanim jednak zdołała wstać, wróciła kelnerka z filiżanką kawy i małym dzbanuszkim mleka. Lissa nie chciała patrzeć na Joego. Wyczuwała, jak narasta w nim napięcie i nagle poczuła, że dusi się w tej kafejce. Zapragnęła wybiec na świeże powietrze, przewietrzyć głowę. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach.

Wygląda na zmęczoną, zauważył Joe. Przy jej zajęciami i zarobkach z pewnością nie odżywia się właściwie. Patrzył, jak dłonią odrzuca włosy z czoła i znowu poczuł przyływ obezwładniającego pożądania. Pomyślał o tym, co kazało mu się z nią spotkać tego wieczoru. Nie był pewien jej reakcji. Nie mógł się zdecydować, czy ma ją powoli przygotować, czy powiedzieć wprost.

Wreszcie wyjął z kieszeni kartkę i przesunął ku niej po stole.

– Będziesz korzystała z usług specjalnej pralki – powiedział, wybierając krótszą drogę – dostarczą ci do domu pierwszą paczkę pieluch za dwa dni.

– Co? – Na twarzy Lissy pojawiło się najpierw niedowierzanie, potem oburzenie.

– Przyniosą ci pewną ilość czystych pieluch – mówił dalej, jakby niczego nie zauważył – a potem przyjdą po brudne. Wszystko masz tu zapisane. – Podsunął papier bliżej, ponieważ Lissa go nie dotknęła, patrząc z rosnącym niedowierzaniem.

– Nie chcę korzystać z usług żadnej pralni – powiedziała w końcu. Wyczuł w jej głosie pogardę. – Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Ja za to płacę – odparł. – To cię nie będzie nic kosztować.

– Jesteś tego pewien? – prowokowała go. – O co ci właściwie chodzi?

Było to pytanie celne, jedno z tych, na jakie nie był przygotowany. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej pragnął jej dotknąć. Była piękna i coraz silniej go pociągała. Mogłaby uwolnić go od nudy długotrwałych prac przy budowie. Wyczuwał jednak, że potrzebując pomocy i pieniędzy, nie zechce ich przyjąć właśnie od niego. To psuło mu humor.

Dalszy spór był niemożliwy, bo kelnerka przyniosła zamówione hamburgery. Joe uśmiechnął się grzecznie, rad z przerwy w dyskusji. Liczył, że Lissa się uspokoi, zanim kelnerka odejdzie.

Nic z tego.

– Nie miałeś prawa tego zrobić! – fuknęła gniewnie, gdy tylko kelnerka odeszła od stolika. Zacisnęła dłonie na krawędzi stołu.

– Prawo nie ma tu nic do rzeczy – odparł cicho, odgryzając kęs burgera. – Potrzebujesz pomocy.

– Ale nie od ciebie.

– To mi wyjaśniłaś z naddatkiem. Ale to nie poprawia twojej sytuacji.

– Żyję, jak mi się podoba i nie narzekam – powiedziała. – Ciekawam tylko, dlaczego właśnie ty to robisz?

– Ze względu na Alexa. – Wzruszył ramionami.

– Kiedyś coś dla niego znaczyłaś. Myślę, że chciałby, żebym to zrobił, co najmniej to. Żebym ci trochę ulżył.

– Nie zależy mi na tym! – krzyknęła. – Nie chcę, żebyś robił dla mnie cokolwiek.

Miał ochotę odparować cios z równą siłą, ale powstrzymała go desperacja w jej oczach. Bała się. Widział wyraźnie, jakkolwiek usilnie starała się to przed nim ukryć. Zastanawiało go, czemu jest tak rozstrojona, ale postanowił zawiesić sprawę na kołku, przynajmniej na razie.

– Jedz – powiedział. – Możemy stoczyć walkę później, w miejscu bardziej prywatnym, jeśli tego chcesz.

Popatrzyła na niego trochę dłużej, potem obrzuciła wzrokiem lokal. Jeszcze tylko dwa stoliki były zajęte, a obie siedzące pary gapily się na nich z ciekawością, zaintrygowane wyraźnie ich zachowaniem. Zmusiła się, by spojrzeć na stół, podniosła hamburgera i ugryzła kawałek. Była zbyt rozdrażniona, żeby jeść, ale musiała czymś zająć ręce.

Grały w niej wszystkie nerwy. Czując nienawiść do tego, co Joe sobą przedstawiał – arogancję Douglasów i dodatkowo gruboskórną obojętność na jej uczucia – nie potrafiła powstrzymać podniecenia, które burzyło w niej krew za każdym razem, gdy na nią spoglądał. Byłoby łatwiej, gdyby nie był tak przystojny, gdyby jego głęboki, niski głos nie kazał się domyślać, jak brzmi, gdy jego właściciel przemawia w łóżku do kobiety. Nie kochała się z nikim od chwili, gdy stwierdziła, że jest w ciąży, i przez to stała się zupełnie nieodporna na działanie przystojnych mężczyzn o zimnych sercach.

Po wyjściu z kafejki Lissa nadal unikała jego wzroku. Chłodne powietrze wieczoru studziło jej zarumienioną twarz, powoli ustawało pulsowanie krwi w skroniach.

Gdy weszli na ścieżkę wiodącą do domu i mijali ciężkie od rosy zwisające grona glicynii, Joe powiedział:

– Próbuję ci trochę pomóc, bo myślę, że Alex cię kochał.

Tak ją tym zaskoczył, że aż przystanęła na chwilę, by mu się przyjrzeć. Był wyraźnie zły, jakby mu się wyrwało coś więcej, niż zamierzał powiedzieć. Najwidoczniej długo myślał, zanim doszedł do tego wniosku, a świadomość ta jeszcze bardziej rozpałała w nim chęć upokorzenia Lissy.

Joe zajął we wpatrzone weń, spłoszone błękitne oczy. Walczył ze swymi uczuciami od pierwszej chwili, gdy dostrzegł tę kobietę. Wystarczyło jedno spojrzenie na nią, a już ogarniał go od stóp do głów gwałtowny płomień; gdy jednak wspomniał o Alexie, równie szybko wybuchął w nim gniew. Pragnął ją wziąć w ramiona, a zarazem trzymać na dystans. Pragnął niemożliwego. Lissa, dostrzegłszy ogień w jego oczach, usiłowała opanować drżenie. Nienawidził jej. Dostrzegła to w jego spojrzeniu i w całej postawie. Wsunął dłonie w kieszenie dżinsów. Wiedziała, że je zaciska w pięści.

– Cokolwiek czuł do mnie twój brat, skończyło się to dawno – powiedziała ostro, głosem łamiącym się z gniewu.

– I nie chcesz o tym słyszeć? – spytał Joe równie twardo. – A może nie ma znaczenia, kochał czy nie? Mój brat nie żyje, także przez ciebie, bo mu w niemałym stopniu zrujnowałaś życie. Ale ciebie to zwyczajnie nie obchodzi – skończył zimno. Spostrzegłszy szybki ruch jej ramienia, zrozumiał, że posunął się za daleko. Lissa uderzyła go w twarz.

– Ty obłudny sukinsynu! – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Zamierzyła się, by powtórzyć cios. Joe dostrzegł w jej oczach łzy.

Tym razem chwycił uniesioną rękę, zacisnął palce na nadgarstku.

– Zasłużyłem na pierwszy – powiedział cicho, słysząc przyśpieszony oddech Lissy. Nie powinien był jej ranić, wyrzucał sobie. Nie powinien był doprowadzać tej dziewczyny do łez.

Nie mogąc się powstrzymać, przyciągnął ją bliżej. Gdy położył dłoń na jej talii, Lissa szarpnęła się, jakby w obawie przed ciosem. Potem zastygła, w milczeniu unosząc dumnie głowę.

Pochylił się nad nią. Przymykając ciężkie powieki, ujrzała w głębi jego ciemnych oczu płomień. Nie wiedziała tylko, czy to namiętność, czy gniew.

Wpił się gwałtownie w jej wargi, ale już po chwili całował delikatniej. Uwolniła się z jękiem. Czowała smak kawy na jego języku. Ogarnęła ją niewysłowiona słodycz. Była bliska łez. Tę samą dłoń, która wymierzyła mu policzek, położył na swojej piersi, a teraz uwolnił. Lissa ze zdumieniem stwierdziła, że wcale nie ma ochoty jej cofnąć.

Był obezwładniająco męski i był bratem Alexa. Piorunująca mieszanka, a mimo to nie chciała, by ją przestał całować. Wyczuwała pod palcami bicie jego serca i to nasunęło jej wyobraźni inny rytm – rytm mężczyzny kochającego kobietę. Zaskoczona własnym zachowaniem, bez oporu oddała mu pocałunek.

Nie powinna zastanawiać się nad wpuszczeniem Joego Douglasa do swego łóżka, ale gdy ponownie poczuła jego wargi na swoich, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Pragnęła go, bez względu na to, co myślał o niej samej czy też o pobudkach jej postępowania.

Joe uniósł głowę i spojrzał na nią z góry. Jego oczy, rozświetlone jedynie blaskiem ulicznych latarni, były cieniste i mgławce niczym czarne kałuże, bezdennie głębokie i



przepełnione grozą.

– Nie jestem Alexem – rzekł głosem ostro grzmącym w nocnej ciszy.

Sprowadził Lissę na ziemię. To nie były przeprosiny. Było to wyzwanie. Nie jestem Alexem. Mnie tak łatwo nie usidlisz.

Zdjęła kurtkę i podała Joemu.

– Dziękuję za hamburgera – powiedziała, starając się panować nad głosem. – Dobranoc. – Ruszyła ku schodom, starając się stłumić w sobie pożądanie i gniew.

Joe stał na chodniku, patrząc, jak Lissa odchodzi i był na siebie wściekły. Nie dowierzał jej, nie chciał mieć z nią nic wspólnego, a jednak musiał jej dotykać. Usłyszał skrzypienie kółek po betonie, spojrzął przez ramię i dostrzegł panią McGee. Szła ku niemu pchając wózek. Przystanąła, popatrzyła nań przez chwilę, uśmiechnęła się i podeszła bliżej.

– Och, Joe, tak śliczny wieczór sprzyja odwiedzinom, nie sądzisz?

– Cieszę się, że znów panią widzę, pani McGee – odparł uprzejmie, niezdolny skupić na tej kobiecie uwagi. Nie mógł się powstrzymać, by ponownie nie zerknąć na odchodzącą Lissę. Pani McGee poszła śladem jego spojrzenia.

– Joe – powiedziała zniecierpliwiona – czy mógłbyś mi pomóc wnieść na piętro dziecko? – Uśmiechnęła się szeroko. – Zrobiłam zakupy – wskazała gestem dłoni pękatą torbę zawieszoną z tyłu wózka. – Lisso! – krzyknęła, machając ręką.

Lissa odwróciła się i zawahała, po czym zawróciła ku pani McGee. Rozmyślnie ominęła wzrokiem Joego...

– Miałyście z Suzie ładny spacer? – spytała, usiłując się uśmiechnąć. Jednak nawet sama usłyszała w swoim głosie napięcie, – Cudny spacer – potwierdziła pani McGee, wyjmując niemowlę, które uśmiechało się i wierzgając nóżkami wyciągnęło ramionka do matki. – Weszłam do mydłami i trafiłam na prawdziwe skarby za pół ceny. – Pani McGee puściła do Joego oko i wyjęła z wózka torbę. – Myślę, Joe, że wiesz, jak to bywa.

Lissa pozwoliła sobie rzucić spojrzenie na Joego i stwierdziła, że znów ją obserwuje. Nie chciała, żeby wchodził do mieszkania, ale poznała po jego minie, że każdy sprzeciw tylko go zachęci. Jej opór zdawał się go prowokować bardziej niż cokolwiek innego. Zaciśnęła więc usta i milczała.

– Widzę, że miałeś z czymś takim do czynienia już dawniej – pochwaliła pani McGee widząc, jak sprawnie Joe składa i podnosi wózek.

– Kiedyś miałem – potwierdził, a Lissa idąc już ku schodom czuła, że Joe nadal się w nią wpatruje. – Mam dziesięcioletniego syna – dodał.

Lissa szła nadal sztywno, tuląc niemowlę wyciągające rączki przez jej ramię do pani McGee. Ma syna, powtarzała w duchu. Czy ma także żonę?

– Jestem od dawna rozwiedziony – mówił niby do pani McGee, lecz Lissa wiedziała, że słowa te kieruje do niej. – Kiedy jestem w pracy, Jay mieszka z moją matką, ale... spędzamy razem tyle czasu, ile to możliwe. Jego matka widuje go tylko czasem, w niektóre weekendy, jeśli nie jest zajęta.

Pani McGee westchnęła ze współczuciem. Lissa zapaliła światło w korytarzu i poszła na górę przodem, słysząc, jak pani McGee w podnieceniu opowiada Joemu o tym, jakie to

cudowne rzeczy nabyła. Nadal czuła na sobie jego wzrok.

Nie spojrzała nań jednak do chwili, gdy znalazłszy się w kuchni, umieściła wygodnie dziecko w foteliku przy stole. Pani McGee ochoczo wypakowała zakupy i usiadła. Torba zawierała pięć budzików; starsza pani była z siebie bardzo dumna.

– Dostałam je za pół ceny! – klasnęła w dłoń. – I popatrzcie, nie mają prawie żadnych usterek! Temu brak tylko wskazówki, a ten ma ułamaną nóżkę.

– Brała do ręki budziki, przyglądając się im z czułością.

– Zaraz je wyreperuję!

– Naprawia pani zegary? – spytał zaciekawiony Joe, przysuwając sobie drugie krzesło. Rozmowa o zegarach przypomniała mu tykanie dochodzące z kuchni, którego nie mógł umiejscowić.

– O tak – odparła z dumą. – To moje hobby od lat.

– Spojrzała na Joego z nadzieją. – Czy twój zegarek dobrze chodzi?

Lissa zerknęła nań ostrzegawczo.

– Trochę się spóźnia – powiedział. Spozrzegł, że Lissa daje mu jakieś znaki, ale udawał, że nie wie, o co jej chodzi.

Pani McGee była w siódmym niebie. Wsuwając do kieszeni zegarek zapewniła, że go wyreguluje. Spakowała budziki, uśmiechnęła się do Joego, cmoknęła dziecko w główkę i wyszła.

– Czy jeszcze kiedyś zobaczę mój zegarek? – spytał Joe, gdy zamknęła za sobą drzwi.

– Oczywiście, dostaniesz swój zegarek – zapewniła – ale już nigdy nie będzie chodził tak jak przedtem.

Joe roześmiał się głośno.

Susanne, przestraszona, wyciągnęła rączki, Joe wyjął ją z fotelika, a Lissa podała dziecku biskwita. Poczula ciepły męski zapach. Spojrzała mu w oczy.

– Unikasz mnie – powiedział. – Musimy porozmawiać.

– Nie ma o czym – odparła szybko. – Proszę mnie zostawić. Chcę być sama. – Błagała spojrzeniem, by nie mówił o tym, co można było wyczytać z jego oczu.

Potrząsnął głową.

– Nie mogę cię zostawić, nawet gdybym chciał.

– Wyczuła w jego słowach jakąś rezygnację i wielkie zmęczenie. Podał jej dziecko. – Wychodzę. Ale wrócę tu. Przygotuj listę potrzebnych wam rzeczy, a postaram się o nie.

Szedł ku drzwiom. Poczula przyspieszone bicie serca.

– Dlaczego? – spytała, gdy kładł już dłoń na klamce.

– Dlaczego nie chcesz mnie zostawić w spokoju?

Odwrócił się i spojrział na nią w milczeniu. Dostrzegła w jego oczach coś, czego nie umiała rozszyfrować.

– Ponieważ jesteś matką dziecka mojego brata. Zatrzymał na niej wzrok nieco dłużej, po czym wyszedł. Susanne machnęła rączkami jakby na pożegnanie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sen Lissy przerwało miarowe, ogłuszające bicie zegara. Nie wiedziała, czy słyszy je na jawie, czy we śnie, który dotyczył Joego i Alexa, ale nie potrafiła zapamiętać jego treści. Obudziła się z uczuciem głębokiego smutku. Czegoś jej było brak, nie wiedziała jednak czego.

Przebudzeniu towarzyszył niesmak i lekki ból głowy. Rytmiczny odgłos przebił się poprzez sen i stwierdziła, że dochodzi z zewnątrz, spoza frontowych drzwi. Brzmiał podejrzenie, jak stuk młotka.

Lissa usiadła na łóżku i na krótką nocną koszulę narzuciła podomkę w kolorze brzoskwiowym. Ani koszula, ani podomka nie zakrywały jej kolan. Spuściwszy nogi, szukała zostawionych obok łóżka pantofli. Jeszcze w półśnie przyglądała dłonią włosy i zajrzała do Suzanne. Niemowlę spało z otwartą buzią. Ciemne, gęste rzęsy rzucały cień na delikatne, jedwabiste policzki. Na widok córeczki Lissa poczuła przypływ wszechogarniającej, macierzyńskiej miłości.

Wyszła na palcach z zagraconej wnęki, która służyła za pokój dzieciny, zawiązała pasek podomki i zeszła kuchennymi schodami. Stąpając ostrożnie po żwirze i trawie, która prosiła się już o skoszenie, wyjrzała zza węgła i stanęła jak wryta. Zobaczyła za rogiem Joego. Żaden mężczyzna nie mógłby tak dobrze wyglądać o tej godzinie.

Dziny leżały na nim jak druga skóra, a gdy przykląkł koło podmurówki, pod tkaniną rysowały się mięśnie ud. Równie muskularne plecy napinały czerwony podkoszulek. Ciemnobrunatne kędziory opadały na kark, a reszta włosów układała się w niesforne fale.

Lissa straciła całe opanowanie. Wiedziała, że zachowuje się jak podlotek, nie miała jednak zamiaru uciekać. Westchnęła tak głęboko, że aż rozwiązał się pasek podomki, musiała więc jej poły przytrzymywać dłonią.

Joe sięgał po gwóźdź, spojrzał przez ramię i ujrawszy Lisę, zastygł. Jego oczy przygasły na chwilę, jak rozgrzany metal nagle zanurzony w wodzie. Chciała się wycofać, ale kiedy wstał z kolan, przystanęła.

– Co tu wyprawiasz? – spytała. Wpatrywał się w nią uporczywie.

– Buduję werandę – odparł ponuro, wymachując trzymanym w ręku młotkiem.

Lissa ściągnęła brwi.

– Pani McGee nie może sobie pozwolić na werandę.

– Doszliśmy do porozumienia – powiedział Joe łagodniej.

– Do jakiegoż to porozumienia? Joe uniósł brwi.

– Nie muszę się przed nikim spowiadać – uciął.

– Co dostaniesz za tę werandę? – naciskała Lissa, wyciągając dłoń w stronę sterty złożonych na ziemi desek, po czym przytrzymała rozchyłające się poły podomki.

Joe zacisnął wargi, a po chwili powiedział:

– Nie dostanę zapasowych kluczy do twojego mieszkania, jeśli o to chodzi.

– Nie? – spytała Lissa z rosnącym podnieceniem. Ten człowiek usiłował wcisnąć się w jej

życie, używając do tego celu nawet pani McGee, a jej się to zupełnie nie podobało.

– Może dostaniesz klucze, jeśli zbudujesz jeszcze garaż?

– Gdybym zechciał je mieć – odparł zimno – nie musiałbym się aż tak starać.

Lissa westchnęła.

– Chyba się przeceniasz – docięła mu. – Przydałaby ci się odrobina samokrytycyzmu.

– Naprawdę? – Zrobił krok w jej stronę. Lissa stłumiła chęć ucieczki. Dzień był słoneczny i ciepły, ale jego oczy pozostawały mroczne, jakby zapowiadały nadchodzącą burzę.

– Myślę, że masz kłopoty z oceną własnych możliwości.

Po tych słowach odwróciła się, lecz nim zdołała odejść, chwycił ją za ramię. Pod rękawem podomki, na gołej skórze, poczuła jego ciepłe, mocne palce.

– Chcę tylko, żebyś potwierdziła, że ojcem twojego dziecka jest mój brat.

Zachnęła się na dźwięk tych z gniewem wypowiedzianych słów, jakby ją nimi znieważył.

– Zdaje się, że sam doszedłeś do takiego wniosku – powiedziała sztywniej. Ciało paliło ją w miejscu, gdzie zaciskał palce. – Cokolwiek powiem, i tak mi nie uwierzysz. – Nienawidziła słabości, która ją przy nim ogarniała. Nienawidziła, choć serce waliło jej jak szalone; ten mężczyzna jest kwintesencją męskości. Zachowywała się jak postać z bajek czytanych kiedyś przez babkę: prześladowana przez złą czarownicę księżniczka, która stwierdza, że jej najgorszy wróg jest kimś, komu nie sposób się oprzeć. Tylko że nigdy nie myślała o sobie jako o księżniczce, a Joe Douglas nie był królewiczem z bajki.

– Chcę, żebyś to ty przyznała – powiedział, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

Lissa odetchnęła głęboko i wytrzymała jego spojrzenie. Wzruszyła nonszalancko ramionami.

– No więc dobrze. Ojcem Suzanne jest twój brat. Jesteś zadowolony?

Pokręcił powoli głową. •

– Nie, nie jestem. Dlaczego nie przyszedł do mnie? Czy masz w zapasie innego tatusia? – Rozluźnił uścisk, zamienił go w pieszczotę. Starając się opanować gniew poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz mocniej. Szarpnęła się i uwolniła ramię.

– Oczywiście, że nie mam zapasowego tatusia. A do ciebie nigdy w życiu bym po nic nie przyszedł! – W ton wypowiedzianych słów włożyła całą niechęć, jaką czuła do tego mężczyzny.

– Ostrożnie, złotko – ostrzegł ze sztucznym uśmiechem. – Pewnego dnia możesz to jeszcze odwołać. Wiesz, że nie masz idealnych warunków do wychowywania dziecka.

Lissa czuła, że krew odpływa z jej twarzy.

– Coś ty powiedział? – spytała ochryplym głosem. – Tylko to, że mam pewne prawa do Suzanne. I nie radziłbym ci zadzierać ze mną zanadto. Ona ma moją krew i chcę mieć coś do powiedzenia na temat jej wychowania. Jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, użyję wszystkich sposobów, żeby dopiąć swego. – Wbił w nią spojrzenie ostre jak brzytwa. – Nie możesz jej zapewnić, w sensie materialnym, tego co ja, i przyzna to każdy sąd.

Lissa opanowała przeszywający ją dreszcz.

– Mówisz, że będziesz próbował odebrać mi dziecko?

– Myślę, że się rozumiemy – powiedział cicho. Zapragnęła dać mu w twarz. Miał w sobie wszystko, czego nienawidziła: był arogancki, podstępny i zaborczy.

– Jesteś jednym z tych, którzy nie mają żadnych skrupułów – wycedziła ściszym, opanowanym, lecz kipiącym furją głosem. Odwróciła się na pięcie i szybko odeszła. Zwolniła jednak na widok pani McGee.

– Lisso! – zawołała radośnie. – Przyjdź wieczorem na kolację. Obiecałam Joemu, że upitrasz wspaniałe danie, a ty tak lubisz moje pieczone kurczaki!

– Chcę... chętnie bym, ale – wyjąkała Lissa, szukając wymówki – ... ale muszę dziś popracować, mam do przerobienia masę zadań...

– Co tam, przynieś ze sobą te swoje książki – nalegała pani McGee. – Przynajmniej nie będziesz musiała sama pitrasić, jak wrócisz z pracy.

Biorąc milczenie Lissy za zgodę, pani McGee zadowolona skinęła głową i zniknęła za drzwiami domu.

Lissa poczuła na sobie wzrok Joego. Odwróciła się powoli. Nagle zdała sobie sprawę, że opuściła rękę i podomka rozchyliła się, ukazując przezroczystą koszulkę. Równie dobrze mogłaby nie mieć na sobie niczego. Widziała, jak wzrok Joego, prześlizgując się po jej piersiach, osuwa się coraz niżej, na uda, nagie poniżej rąbka nocnej koszulki. Poczula, jak sztywniej jej palce.

– Nie chcę z tobą walczyć, Lisso – powiedział innym, łagodniejszym tonem.

– Mimo wszystko robisz tu coś pożytecznego – odparła.

– Robię to, co mam do zrobienia – powiedział cicho. i Lissa wyczuła jednak w jego głosie zdecydowanie; była ciekawa, jakiej też Joe Douglas użyje broni. Prawdopodobnie zwróci się do sądu. Albo będzie ją gnębił. Bronią, której obawiała się najbardziej, był sam Joe.

Odwróciła się, żeby nie patrzeć w jego ciemne oczy.

Po powrocie z pracy weszła na nie dokończoną jeszcze werandę, zabrała Suzanne od pani McGee. Wybiła dokładnie szósta trzydzieści, gdy obie, stosownie ubrane, były gotowe do kolacji. Lissa, zanim zdecydowała się wyruszyć z domu, zmieniła strój trzy razy. Teraz, stojąc już przed drzwiami mieszkania pani McGee, była gotowa zrobić to po raz czwarty. Najchętniej jednak dałaby drapak. Biała bawełniana spódnica w różowe kwiaty wydawała się zbyt szykowna. Powinna była włożyć dzinsy, żeby pokazać Joemu, że nie dba o to, jak wygląda. I nie powinna odpinać ostatniego guzika różowej bluzki bez rękawów, to znacznie wygodniejsze. Tusz na rzęsy i róż na policzki nałożyła jeszcze przed wyjściem do pracy.

– No, jesteś wreszcie – powitała ją pogodnie pani McGee. Z kuchni dolatywał zapach pieczonego kurczęcia. Suzanne wierzgnęła nóżkami i wyciągnęła ramionka ku swojej opiekunce. – Witaj, maleńka – zawołała pani McGee, biorąc na ręce dziewczynkę.

– Chodź, zobacz, jaki piękny śliniaczek ci wyszyłam.

– Nie powinna pani – powiedziała Lissa, obdarowując uśmiechem starą kobietę, tak rozkochaną w jej córeczce, ale pani McGee tylko ją ofuknęła.

Lissa weszła za nią i z wahaniem przystanąła na progu kuchni. Za nakrytym obrusem okrągłym stołem siedział Joe. Wstał na jej widok. W telewizji znacznie mniej przystojni faceci reklamowali wodę kolońską dla mężczyzn. Joe prezentował się wspaniale w spodniach

koloru khaki i lekkim błękitnym swetrze, za które zapłacił więcej, niż ona zarabiała u Duncana przez tydzień. Lissa w równej mierze pragnęła z bezwstydnym podziwem patrzeć na niego, co odczuwała niechęć do samej siebie za własną słabość.

– Siadajcie, siadajcie! – rozkazała pani McGee. Posadziwszy na biodrze Suzanne, obróciła piekące się na różnie kurczę i wskazała na stół. – Spójrz, Lisso, na te urocze kwiaty od Joego. Pan McGee, niech spoczywa w pokoju, Bóg świadkiem, nigdy nie przynosił mi kwiatów.

Gliniany dzbanek wypełniały stokrotki. Lissa, spojrzawszy na kwiaty, poczuła na sobie wzrok Joego.

– Są piękne – przyznała, spuszczać głowę.

– A teraz – powiedziała pani McGee – zajmijcie się tym, ty i Joe. Wskazała gestem stojącą na podłodze starą maszynkę do robienia lodów. – Kiedy skończycie, wstawimy lody do zamrażarki, będą na deser. Lissa zawahała się przez chwilę, Joe podniósł maszynkę i ruszył do drzwi.

– No, idź, idź! – popędzała pani McGee. – Muszę zająć się kurczęciem.

Lissa poszła posłusznie za Joem. Nawet na nią nie spojrzął, gdy zamknęła drzwi, po prostu zabrał się do roboty.

Rozejrzała się dokoła, po czym usiadła na drewnianym podium, które miało być podłogą przyszłej werandy. Czerwona kula słońca skryła się za drzewami, w oddali kumkały żaby. Pani McGee od dawna nie robiła lodów, Lissa wiedziała, że rezerwuje tę czynność dla odwiedzających ją wnuków. To dziwne, że Joe pozwolił się tak potraktować. No, ale przecież budował też werandę. Przerwał na chwilę pracę, by na nią spojrzeć. Była spięta, oczekiwała nowego ataku.

A on powiedział zwyczajnie:

– Mój tata lubił lody. Brał nas na lody każdej niedzieli. – W jego głosie pobrzmiwał smutek. Lissa objęła dłońmi kolana. Bała się go spytać o ojca.

– Mój zabierał mnie na mrożony krem – powiedziała szybko, patrząc, jak znowu kręci korbą. Maszyna wymykała mu się z rąk. Lissa wstała.

– Pomogę ci. – Uklękła przy nim i ujęła naczynie w obie dłonie, a on kręcił korbą. Klęczeli, twarz przy twarzy, ale ona patrzyła tylko na jego ręce, mocne ręce o zgrubiałych stawach. – Wychodziliśmy z domu każdej soboty, zaraz po kolacji.

– Tradycja rodzinna – dopowiedział.

– Tak, to była tradycja – potwierdziła ochryłym głosem, znowu patrząc w dół. – Tata bardzo przestrzegał tej tradycji. – Zmarszczyła czoło, starając się nie przechylać naczynia. Nie miała zamiaru tak dużo mówić.

Joe przestał kręcić korbą, Lissa uniosła głowę i zajrzała w jego płomienne oczy.

– Co się stało z twoim ojcem? – spytał. – Mówiłaś o nim ze smutkiem.

Miał w twarzy coś zniewalającego, więc odpowiedziała:

– Do tradycji należało także to, że w drodze powrotnej z lodziarni wstępowaliśmy do tawerny.

– Posmutniała na samo wspomnienie. – Zostawaliśmy tam aż do zamknięcia lokalu.

Miałam pięć lat, gdy ojciec zmarł na atak serca, osłabionego latami nadużywania alkoholu.

– Matka nie powinna ci pozwalać na spędzanie wieczorów w tawernie – powiedział ściągając brwi.

– A tak nawiasem mówiąc, nie byłeś za mała na takie rozrywki?

– Moja matka też miała słabostki – odparła Lissa.

– A los właścicieli tawerny zależał od takich właśnie klientów jak moja mama, która bywała tam regularnie. Prawdę mówiąc, wychowałam się w tawernie.

– Matka nie dbała o ciebie? – nie dowierzał.

– Nasza rodzina z pewnością nie należała do tych, które tak chętnie portretował Norman Rockwell.

– Ale jakoś musiała o ciebie dbać – nalegał zdumiony, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie.

– Nie chcę cię zanudzać wspomnieniami – odparła nerwowo.

– Zanudzaj – namawiał. Zaczął znowu kręcić korbą, nie odrywając od niej wzroku. Zaczęła drzeć. Nie miała pojęcia, o czym myślał. Wiedziała jednak, że musi swą opowieść doprowadzić do końca. Nie pojmowała tej nagłej potrzeby zrzucenia z siebie ciężaru przeszłości przed człowiekiem, który tak jej nie cierpiał, ale gdy już raz zaczęła, musiała ciągnąć dalej.

Spojrzała na swoje ręce i zdała sobie sprawę, że jest straszliwie spięta.

– Mama musiała pracować, bo renta po tacie nie wystarczała na życie – kontynuowała. – W tamtych latach kobiety z reguły nie dostawały dobrej pracy, a mama nie miała żadnego wykształcenia. Pracowała więc wiele godzin, do domu wracała skonana. – Przeniosła wzrok na jego ręce, duże, piękne ręce nawykłe do pracy. Jej własne, szczupłe i białe, spoczywały tuż obok, tak blisko, że mogłaby dotknąć tych twardych palców, gdyby tylko chciała. Wróciła myślami do dzieciństwa. W błękitnych oczach malował się smutek.

Joe czekał na dalszy ciąg, zdając sobie sprawę, że to dla niej trudne.

– Nie miała więc wiele czasu, żeby się tobą zajmować – podpowiedział, kiedy umilkła.

– Nie miała. Odesłała mnie do babki. Matkę widywałam tylko przez godzinę, raz w tygodniu, gdy wpadała w niedzielę.

– Przez godzinę? – spytał Joe z niedowierzaniem.

– Żyła z kimś – wyjaśniła Lissa cicho. – On nie chciał się z nią ożenić, ale matka go potrzebowała. Babka miała do niej o to pretensje, więc ograniczyła odwiedziny.

– To zbrodnia! – wykrzyknął Joe.

– Nie – odparła Lissa, patrząc mu w oczy. – Sam powiedziałeś dziś rano, że ludzie robią to, co mają do zrobienia. – Wstała i starannie otrzepała spódnice. – Babka robiła wszystko, żeby mnie chronić i ja ją rozumiem. To samo zrobię dla Suzanne. – Wytrzymała jego spojrzenie, pozwalając mu w swoich oczach wyczytać stanowczość, po czym gorzko się uśmiechnęła. – Powiem pani McGee, że sprawujesz pełną kontrolę nad lodami.

Lissa przyjęła wyzwanie. Gdyby spróbował odebrać jej dziecko, zrobiłaby wszystko, żeby mu przeszkodzić. Rozumiał to, ale wierzył, że gdyby doszło do rozgrywki, wygrałby niechybnie.

Wszedł z gotowymi lodami, gdy Lissa stawiała na stole miseczkę grochu.

– Zadanie wykonane – powiedział pogodnie, zatrzymując wzrok na Lissie nieco dłużej, niż należało.

Był taki jak Alex, próżny i pewny siebie. Postanowiła nigdy więcej nie dać się usidlić: nie pokocha przystojnego łgarza.

Odwróciła się od niego i machinalnie wstawiła miskę z lodami do zamrażarki. Właśnie wtedy pani McGee nagle przypomniała sobie:

– Joe – powiedziała – taki przystojny mężczyzna jak ty, i rozwiedziony?

Lissa wbiła oczy w talerz.

– Wiem, że jestem bardzo bezpośrednia i czasem niezbyt taktowna – mówiła pani McGee – ale się starzeję. Nie mam cierpliwości czekać do jutra, kiedy chcę coś wiedzieć już dziś.

– Mieliliśmy z żoną różne... zdania w sprawach zasadniczych – ostrożnie cedził słowa, panując nad mimiką. – Niczego nie rozwiązywaliśmy wspólnie...

– To przykre – westchnęła ze współczuciem pani McGee. – Rozwody, te rozwody, kiedy są dzieci. Pan mówił, że ma syna?

Joe skinął głową.

– Jay jest wspaniały. Jakoś zniósł to, co zaszło między mną i jego matką.

– Och, te dzieci – powiedziała pani McGee – wszystko wywają. Sama miałam trzy siostry. Muszę przyznać, że byliśmy okropnie. Wściubialiśmy nosy we wszystko. Masz siostry, Joe?

– Nie, proszę pani... miałem brata, Alexa. Zginął w wypadku samochodowym.

Lissa poczuła, że jedzenie staje jej w gardle. Spojrzawszy przelotnie na Joego, dostrzegła, że zaciska szczęki. Pani McGee zlekceważyła napięcie zaistniałe nagle przy stole mówiąc:

– To smutne, kiedy się kogoś traci w ten sposób. Zostawił żonę i dzieci?

Joe milczał chwilę, po czym rzekł:

– Nie, był zaręczony, ale narzeczona z nim zerwała. Alex... dużo pił przed wypadkiem. Zginął, bo sprawy przybrały zły obrót. – W ciszy, jaka potem zapanowała, Lissa powoli uniosła głowę i zobaczyła, że Joe, zacisnąwszy wargi, patrzy na nią w zamyśleniu spod przymrużonych powiek. Miał do pewnego stopnia słusność. Sprawy przybrały zły, fatalny obrót. Ale ! gdyby opowiedziała Joemu całą prawdę, że nic nie ! wiedziała o narzeczonej Alexa, z pewnością by jej nie uwierzył. Łączyły go z bratem więzy krwi.

– To smutne – mruzczała pani McGee – to takie smutne.

– Nie mówmy o przeszłości – powiedział Joe, zwracając się do pani McGee. – Pani z pewnością ma wnuki!

– Jasne! – zawołała pani McGee, z radością przechodząc na ulubiony temat.

Lissa wstała z krzesła i zajęła się opróżnianiem talerzy z resztek jedzenia i ustawianiem ich w zmywarce. Pochłonięta rozmową z Joem pani McGee nie spostrzegła, że Lissa straciła apetyt. Mówiła właśnie o wyjeździe dwojga swoich wnucząt i o tym, że zięć nie zdążył wyremontować mieszkania obok Lissy, które w tym stanie nie nadaje się do wynajęcia.

– Czy to mieszkanie stoi puste? – spytał Joe, wyraźnie zainteresowany.

– Pysznic nie działa, dach trzeba naprawić, piec nie grzeje, pękły dwie szyby, a w



łazience cieknie – westchnęła. – Jest w gorszym stanie, niż był pan McGee, zanim umarł, Panie, świeć nad jego duszą.

– Szukałem mieszkania – powiedział Joe. – Nie mogę znaleźć w okolicy odpowiedniego motelu, w którym mógłbym wynająć na dłużej kilkupokojowy apartament.

– Ale ten lokal – odparła pani McGee – nie nadaje się do zamieszkania.

Lissa spoglądała na nich z lękiem. Joe ma zamiar zostać jej sąsiadem. Będzie go widywać co dzień, słyszeć, co u siebie robi, spotykać na korytarzu. Wchodzi na balkon, a on już tam siedzi. Potrząsnęła głową, otworzyła usta, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

– W zamian za remont może pan tam mieszkać za darmo – zaproponowała pani McGee.

Suzanne zrzuciła na podłogę butelkę z mlekiem i zaczęła płakać. Lissa ruszyła ku niej, Joe wstał i wziął maleństwo na ręce. Ucichło. Starł kciukiem łezki, a jego dłoń w zestawieniu z drobną twarzą dziecka wydawała się wręcz olbrzymia. Suzanne odchyliła główkę, żeby mu się uważniej przyjrzeć. Najwyraźniej uznała go za człowieka godnego zaufania, oparła się więc na jego ramieniu, jedną rączką chwyciła go za koszulę, a kciuk drugiej wetknęła do buzi.

– Musi teraz pospać – powiedziała Lissa. – Powiemy państwu dobranoc. Dziękuję, pani McGee, za wspaniałą kolację.

– Jaja zaniosę – zaoferował się Joe. – Dziękuję za zaproszenie na kolację, pani McGee. Rano obejrzę tamto mieszkanie.

– Joe! – krzyknęła pani McGee, gdy już ruszył ku drzwiom. – Naprawiłam twój zegarek! – Wyciągnęła czasomierz z kieszeni i wręczyła właścicielowi z malującą się na obliczu dumą rzetelnego mistrza. Joe spojrział na zegarek i uśmiechnął się.

– Dziękuję, pani McGee, jestem panu bardzo wdzięczny.

Lissa szła krok za nim, starając się nie patrzeć na szerokie plecy Joego. Niosąc dziecko wyglądał tak imponująco, że niemal zapierało jej dech. Suzanne, przewrotna dziewczyna, kołysząc się w jego ramionach, gaworzyła przymilnie.

Wchodził po ciemnych schodach bez wahania. Lissa wspinała się za nim, wodząc dłonią po chłodnej, drewnianej poręczy. Kiedyś szedł tędy Alex. Wracali pewnego wieczoru z późnej kolacji.

Nie żywiła już dla Alexa żadnych uczuć, smutkiem napawała ją tylko myśl o ludziach, których skrzywdził. I, rzecz dziwna, Joe nie przypominał jej już swego i brata. Był silniejszy, bardziej męski, bardziej wymaga – | jacy. I nieskończenie bardziej niebezpieczny.

Joe wniósł Suzanne do mieszkania, mała zagaworzyła i uradowana, ale Lissa, zbyt zmęczona, nie zwracała już na I to uwagi. W obecności Joego starała się ze wszystkich sił zachować spokój. Odebrała dziecko, bacząc, by nie spojrzeć Joemu w twarz albo nie dotknąć przez nieuwagę jego dłoni. Ułożywszy córeczkę do snu we wnęce, odwróciła się i ujrzała w zmierzchu, że Joe stoi tuż za nią.

– Czy mała szybko zasypia? – spytał cicho.

Lissa skinęła głową.

– To dobre dziecko. Budzi się czasem o północy, kiedy się zsiusia, ale nie marudzi. – Wyminęła go, nadal nie patrząc mu w twarz.

Stała przy kuchennym oknie, oparłszy dłonie o wilgotny i chłodny zlew, zastanawiając

się, co się z nią dzieje. Mogła znieść jego wybuchy gniewu i napastliwość, ale kiedy jej dotykał, czuła się wobec własnych ! uczuć bezradna.

– Już usnęła – powiedział Joe cicho. – To śliczne dziecko.

– Tak, śliczne. – Miała ochotę odwrócić się i spojrzeć mu w oczy. Tego wieczoru były tak niepokojące.

– Lisso, musimy porozmawiać.

– O tym, że chcesz mi odebrać dziecko? – ucięła ostro. – Najpierw zamieszkas po sąsiedzku. Myślisz, że wtedy będziesz mógł mnie kontrolować? Chcesz rejestrować każde moje matczyne potknięcie?

– Nie mam zamiaru cię szpiegować – odciął się, pragnąc jedynie porwać ją w ramiona i całować, żeby umilkła, a może żeby mu uległa. Wiedział jednak, że byłoby to zwycięstwo chwilowe. Lissa, gdyby sprowadził całą sprawę do starcia fizycznego, walczyłyby.

– Chcę pomóc pani McGee w remoncie mieszkania – powiedział, starając się ukryć zniecierpliwienie. – I chcę być bliżej ciebie, żeby pomóc przy Suzanne.

Wściekłość i znużenie doprowadziły Lissę niemal do łez.

– Nie chcę cię tu widywać, Joe, dobrze o tym wiesz. Zaczął coś mówić, lecz umilkł. Patrzyli na siebie, w końcu Lissa odwróciła się do okna. Usłyszała jego westchnienie.

– To weź przynajmniej te przekłete sto dolarów – warknął.

– Nie chcę ich – trwała w uporze.

– Lisso... – Urwał zdanie, a dziewczyna czuła, że walczy ze sobą, by nie wybuchnąć. – Weź te pieniądze na potrzeby dziecka. Alex chciałby, żebyś je przyjęła.

– Na potrzeby dziecka? – roześmiała się. – Myślisz, że Alex dałby na to dziecko chociaż centa? Oskarżenie było bezlitosne, Joe wstrzymał oddech. Zacisnął dłonie na jej ramionach i obrócił twarzą ku sobie. Zatkaną ją. Miał w oczach ból i gniew.

– Nie zawiadomiłaś nas, że jesteś w ciąży – rzekł.

– Zdecydowałaś sama. Uznałaś, że moja rodzina nie jest warta, by się dowiedzieć o istnieniu Suzanne.

Po tych słowach wywinęła się gwałtownie z jego rąk.

– Nic o tym nie wiesz – syknęła wściekle. Zmrużył oczy.

– Przyznaję, że Alex był samolubem i egocentrykiem. Ale gdybyś dała mu szansę, pokochałby to dziecko. Jestem jego bratem, Lisso. Widywałem, jak grywał z moim synem w piłkę aż do zmierzchu. Potem kładł się na trawie i pokazywał Jayowi gwiazdy. Taki był mój brat.

Zaczęła płakać. Nie chciała, żeby Joe wiedział, iż doprowadza ją do łez. Poczwała łzy na policzkach. Zanim zdążyła je otrzeć, Joe zaklął z cicha i przyciągnął ją do siebie.

Opierała się zrazu, stała sztywna, ale on powiedział miękko:

– Nie płacz. Za późno, żeby cokolwiek zmienić. – Gładził dłonią jej włosy. Czuła, że mięknie. Po tak długo tajonym bólu, westchnąwszy, oparła głowę o szeroką pierś Joego.

– Niech mnie diabli, jeśli bym miała prosić kogokolwiek z twojej rodziny o pomoc – szepnęła zapalczywie.

– Wiem – powiedział łagodnie. – Teraz to nie ma znaczenia. – Miało jednak znaczenie i

wiedzieli o tym oboje.

Dotknął dłonią jej policzka, delikatnie odsunął pasemko mokrych od łez włosów. Usłyszała dobywający się z głębi jego piersi jęk:

– Lisso...

Spojrzała w górę. Długo na siebie patrzyli. Lissa wiedziała, że wpada w pułapkę, z której nie ma uciezki. Bolesna tęsknota do Joego musiała się skończyć katastrofą. Mimo to nie potrafiła się od niego oderwać.

Nie protestowała, kiedy schylił głowę, szukając jej ust. Protest był daremny, pożądanie brało górę nad wszystkim. Zelektryzował ją już pierwszym dotykiem warg. Wewnętrzny ból zmienił się w przyjemność, a ta w eksplozję rozkoszy. Odwzajemniła pocałunek z równą zachłannością i przestała udawać, że go nie pragnie.

– Joe – powiedziała, gdy się odsunął, by na nią spojrzeć.

– Mów. – Głos miał matowy, niemal nie mogła uwierzyć, że już przestał ją nienawidzić.

– Nie umiem nad tym zapanować... Westchnął, pogładził jej włosy. – Wiem.

Lissa czekała, czując, jak bardzo jest spięty. Chciał powiedzieć całkiem coś innego.

– Do diabła – mruknął, ścierając z jej policzka ostatnią łzę – jesteśmy dla siebie stworzeni. Zrozumiałem to już w czasie naszego pierwszego spotkania. Albo zostaniemy wrogami, albo kochankami.

Odsunął ją niemal siłą, tak była w niego wtulona.

– Musimy się trzymać pewnych zasad.

Lissa uniosła podbródek i wzięła się pod boki.

– Zasada pierwsza: nie ważysz się mnie dotknąć. Joe pokręcił głową.

– Bzdura – powiedział łagodnie. – Ty pozwolisz mi zajmować się Suzanne, a ja ci za to trochę w tym i owym pomogę.

– Mogę sobie wyobrazić to „w tym i owym” – odparła zaczepnie.

– Przemyśl to, kochanie – powiedział całkiem serio.

– Pójdziemy do łóżka dopiero wtedy, gdy do tego dojrzejesz. Na razie myślę tylko o finansach. – Wyjął z kieszeni sto dolarów i położył na kredensie. Lissa zeszywniała, ale tym razem nie cisnęła mu ich w twarz. Uznał, że czyni postępy. – Jutro, kiedy wrócisz z pracy, zrobię ci coś do zjedzenia. Będziesz się mogła pouczyć.

– Coś jeszcze? – spytała zuchwale, gdy umilkł.

– Owszem – odparł, unosząc brwi. – Włóż tę bluzkę, którą masz dziś na sobie. Ładnie ci w niej.

Zarumieniła się, stwierdziwszy, że bluzka przy każdym ruchu opina się wyzywająco na jej piersiach.

– Włożę ją tylko wtedy, jeśli i ty włożysz coś, o co poproszę – odcięła z udaną słodyczą w głosie.

– Mianowicie co? – spytał, kierując się ku drzwiom.

– Kaganiec.

Wyszedł, nie pozwoliwszy jej dostrzec ponurego uśmiechu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W niedzielne poranki Duncans' Quik Shop przypominał twierdzę zdobywaną przez hordy barbarzyńców.

Osoby w rozmaitym i trudnym do określenia wieku, płci obojga, różniące się ciężarem ciała i stanem kont, waliły do drzwi falami, żądając lodów, pączków, gazet, wody sodowej, benzyny do samochodów i syropów na kaszel dla dzieci. Przybywali z zuchwałymi uśmiechami, z minami cierpiętników, naburmuszeni, wściekli, z ciężkim kacem i jeszcze cięższym sercem przy odliczaniu gotówki.

Krótko mówiąc, było to istne piekło.

– Skąd przyplywa ta ludzka fala? – spytała Bonnie Ann.

– Jest niedziela – przypomniała Lissa, usiłując nieco przyglądzić rozczochrane włosy przyjaciółki. – Nasz dzień roboczy.

Lissa była rada z dodatkowych zajęć, ponieważ odrywały ją od rozpamiętywania starcia z Joem Douglasem, do jakiego doszło poprzedniej nocy. Wciąż myślała o tym, co jej powiedział: pragnie pójść z nim do łóżka. Oburzyła się na to stwierdzenie, w głębi duszy jednak czuła, że Joe ma rację. Od urodzenia dziecka żyła w wiecznym pędzie, zajęta pracą i nauką, byle tylko związać koniec z końcem. Być może zapomniała, co się czuje kochając się z mężczyzną, ale ciało miało lepszą pamięć i boleśnie pragnęło intymnych kontaktów.

Następny klient ściągnął Lisę z obłoków na ziemię, przestała więc rozmyślać o tym, co zdarzyło się wczoraj. Gdy piętnaście minut później załatwiła ostatniego klienta, uniosła głowę i ujrzała poważnego, ciemnowłosego chłopca, który pilnie się jej przyglądał spoza kontuaru.

– Cześć – powiedziała. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

Chłopiec myślał chwilę, po czym rzekł:

– Chyba tak. Szukam tych... no, samochodzików. Pani wie, tych co się dostaje z cukierkami...

– Tak, wiem, o co ci chodzi. – Lissa obeszła kontuar i położywszy dłoń na jego ramieniu, jęła prowadzić chłopca ku działowi słodczy. – Chcesz model czterodrzwiowy, czy coś bardziej sportowego, powiedzmy jaguara? – wskazała czerwony plastikowy samochód przywiązany do dużego pudła z cukierkami.

Chłopiec uśmiechnął się.

– Tak, wolę jaguara – powiedział. – Mój typ. A i te cukierki też są całkiem niezłe – dodał roztropnie, otwierając plastikowe pudło. Lissa uśmiechnęła się. Uznała, że chłopiec ma około dziesięciu lat i jest bardzo bystry.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – spytał znajomy głos. Lissa podniosła głowę i, ku swemu zdumieniu, ujrzała Joego. Odwróciła się i nagle dostrzegła wzajemne podobieństwo mężczyzny i jej młodego klienta. To był syn Joego.

– Tak, znalazłem jaga – powiedział chłopiec, niosąc pudło.

– Ładny wóz – pochwalił Joe. Mówił do chłopca głosem ciepłym, pełnym wzruszenia, bez cienia drwiny, z którą tak często zwracał się do Lissy. Spojrzał na nią i powiedział:

– Jay, to jest ta pani, o której ci opowiadałem, Lissa Gray. Lissa, to mój syn, Jay.

Jay przyjrzał się jej z ciekawością. Oczy miał ciemne jak ojciec.

– Ona się zna na samochodach – zapewnił uśmiechniętego ojca. Zauważyła, że syn ma dobry wpływ na Joego.

– Nie wiedziałam, że Jay jest w mieście – powiedziała.

– Wstąpiłem do matki i zabrałem go dziś rano – odparł Joe, ustępując drogi damie obładowanej pączkami i lodami.

– Babcia mnie wzięła, bo mama znowu miała zły dzień – powiedział Jay z nutą bólu w głosie. Lissa szybko spojrzała w oczy Joego, ale nie wyczytała z nich nic.

– Czy ona pojedzie z nami? – spytał Jay ojca.

– Nie wiem – odparł Joe. – Nie zapraszaliśmy jej przecież.

– Chyba nie – zgodził się Jay.

– Nie sądzisz, że mógłbyś to zrobić? – spytał Joe.

– Tak, chyba mógłbym – powiedział po chwili namysłu. Lissa czekała, nie mając pojęcia, o co im chodzi.

– Jedziemy nad jezioro – powiedział Jay. – Nie chciałybyś pojechać z nami?

– Nie pojechałybyś z nami? – powtórzył Joe.

– Zostałaś tak uprzejmie zaproszona.

– Ech, tato – zaprotestował chłopiec. – To właściwie jak miałem jej to powiedzieć?

– Panno Lissa, czy nie miałaby pani ochoty towarzyszyć nam, džentelmenom, w wyprawie nad Jezioro Marshalla, gdzie spędzilibyśmy rozkoszne popołudnie? – powiedział Joe z akcentem południowca. Jay zaśmiał się. – Nie nauczyłem cię nic a nic, jak się zachowywać, żeby wywrzeć na damach wrażenie?

– Joe szturchnął syna w obok.

– No tak, mówiłeś mi, żeby nie pluć i nie czać, ani nie puszczać bąków, kiedy jestem z dziewczyną – powiedział Jay. Lissa z trudem tłumiła śmiech. Joe jawił się przy synu jako ktoś zupełnie inny, co ją zbiło z tropu.

– To miłe, żeś zapamiętał te właśnie rady starego taty – powiedział Joe, głaszcząc czuprynę Jaya.

– Mam dziesięć lat, no nie? – zauważył Jay znacząco. – Nie postępuję tak, jak maluchy.

– No słusznie, to ja stale zapominam – powiedział Joe – że stajesz się prawdziwym mężczyzną. Co byś więc powiedział na to, żebyśmy obaj, dorośli faceci, ładnie spytali Lisę, czy z nami pojedzie?

Lissie podobała się rozmowa, nie chciała jednak trzymać ich w niepewności.

– Dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie mogę go przyjąć – powiedziała.

– Obiecałem – kusił Joe – że przygotuję coś do jedzenia.

– Pracuję do południa – trwała przy swoim Lissa.

– Potem muszę się przygotować do egzaminu. A pani McGee nie może zostać z dzieckiem po południu.

– Żaden problem – zapewnił Joe. – Możemy pojechać, gdy skończysz pracę, zabierzemy Suzanne ze sobą, weź swoje książki, pomożemy ci, prawda, Jay?

Jay skinął głową.

– Ja wiem, jak się trzeba uczyć – poinformował tonem eksperta. Lissa wciąż się wahała. – Słuchaj – dodał Jay z miną starego wygi – mój tata jest najgorszym kucharzem na świecie. Wiem, co mówię. Kombinuje takie dania, że i pies ich nie tknie. Nie umie zrobić nic normalnego, takiego jak hot dogi. Jeśli nie pojedziesz, to co się stanie z moim brzuchem?

– Bóg świadkiem, że nie mogę brać na sumienie twojego brzucha – poddała się Lissa. Joe zdążył już wyjaśnić, że nie powinna traktować serio jego groźby, iż odbierze jej Suzanne, jeśli nie pozwoli mu widywać dziecka. Uznała, że jeśli mu to umożliwi, da jej spokój. Jay zaskoczył ją prośbą, żeby z nimi pojechała i wyrazem twarzy, kiedy wspomniał o swojej matce.

– Ty naprawdę musisz fatalnie gotować – powiedziała Joemu, wracając za kontuar.

– Jay żartował – odparł sucho, opierając na ładzie muskularne ramię. – Mogę zakasować każdego mistrza kuchni w dowolnie wybranym dniu tygodnia.

Zaskoczył ją tym, po chwili dodał:

– Moja matka jest Francuzką. Ojciec był w wojsku. Stacjonował w Niemczech, kiedy pojechała tam na wakacje z rodzicami. Pobrali się, gdy wrócił do Stanów. Mama nauczyła mnie robienia mnóstwa rzeczy, w tym także gotowania.

– Ale Jay powiedział... – zaczęła speszona.

– Chodzi o to, że mam dziecko, które nie cierpi *cassoulet* ani *vichysoisse*. Dlatego muszę smażyć frytki i robić hot dogi. – Potrząsnął głową i spokojnie odszedł.

Lissa patrzyła za nim, zdezorientowana. Przyjęła pieniądze za trzy mrożone pizze od dwu chichoczących dziewcząt i spostrzegła Jaya: stał przy kontuarze, trzymając samochodzik i wodząc oczyma za ojcem buszującym w dziale dań gotowych.

Spojrzał na Lissę z troską w oczach. Westchnął.

– Widać, że jest zmęczony, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Czasem nie może zasnąć. Przeważnie wtedy, jak zadzwoni do niego mama. Powiedziałem mu, że mnie się nic nie stanie, ale tacy już chyba są ci tatusiowie.

Lissa czuła ciężar troski tego chłopca o ojca. Chciałaby wiedzieć, co zaszło między Joem i jego byłą żoną. Bez względu na okoliczności ich rozwodu, musiało istnieć coś, co kazało temu mężczyźnie lękać się o los chłopca, a chłopcu o bezpieczeństwo ojca.

Gdy Joe wrócił z frytkami i hot dogami, spostrzegła, że istotnie wygląda na zmęczonego.

– Zabierzemy cię z domu o pół do pierwszej, weź kostium kąpielowy – powiedział patrząc na nią, gdy wybijała sumy do zapłacenia. Czowała, że pod wpływem jego wzroku dygocze i przestaje trafiać palcami we właściwe klawisze. Wydając mu resztę, musnęła jego dłoń i z trudem opanowała drżenie.

Ustał miejsca następnemu klientowi, schował portfel do kieszeni, lecz zanim wyszedł, jeszcze przez chwilę zatrzymał na niej wzrok. Patrzyła za nim długo, czując, jak serce bije w piersi jak oszalałe.

– Przywieźli piwo! – ogłosiła Bonnie Ann, trącając Lissę biodrem. Przepchnęła się za kontuar. – Zaraz zrobi się tłok, nie?

Wniesiono skrzynki z piwem, ruszyła sprzedaż. Bonnie Ann, wracając zza kontuaru,

pochyliła się nad Lissą pytając:

– Dobrze słyszałam, masz z Joem randkę?

– Głupstwo – odparła Lissa, podając rachunek kobiecie, która nabyła pięć kilo lodów i sześć paczek sody oczyszczanej. – To po prostu piknik nad jeziorem. – Zmarszczyła czoło. – Nie mogę mu przecież zabronić widywania Suzanne. – Powiedziała Bonnie Ann już wcześniej, że Joe jest stryjkiem Suzanne, wiedząc, że i tak nic się przed nią nie da ukryć.

– A ten chłopak był tu z nim? Spryciarz, nie można powiedzieć.

– Uhm. – Lissa udawała, że szuka ceny na dwukilogramowym kubelku miętowych lodów. Ta dziewczyna, gdyby tylko zechciała, mogłaby być asem wśród reporterów *Washington Post*.

– Wiesz – zaczęła Bonnie Ann, mrużąc oczy w znany Lissie sposób – próbowałam przypomnieć sobie coś, co słyszałam kilka lat temu o kimś, kto nazywał się Douglas. Znasz moją kuzynkę Sherry, która mieszka niedaleko Pittmana? Mogę ją zapytać.

Lissa potrząsnęła głową. Postanowiła zachowywać się godnie i nie słuchać plotek na temat Joego, choć pragnęłyby wiedzieć o nim wszystko.

– To miało jakiś związek ze sprawą o opiekę nad dzieckiem – ciągnęła Bonnie Ann, zlekceważywszy niechęć Lissy. Mimo najszczerzych chęci Lissa nie potrafiła zapomnieć wyrazu twarzy Jaya. Ciekawość wzięła w końcu górę.

– Niech będzie – ustąpiła, nawet się już nie karcąc się w duchu za własne wścibstwo. – Następnym razem jak spotkasz Sherry, spytaj ją o to.

Gdy Joe i Jay przyjechali po Lissę i Suzanne, obie były spakowane i gotowe. Joe zaskoczył ją, otwierając drzwi czerwonego sportowego wozu najnowszego rocznika, zwłaszcza że stał za nim jego pickup. Joe nie powiedział ani słowa na temat samochodu, nie zadawała więc żadnych pytań. Posadziła dziecko w foteliku umocowanym do tylnego siedzenia i podała mu ulubioną pluszową żabę. Jay usiadł przy małej. Joe otworzył przed Lissą drzwiczki, spoglądając na jej długie nogi. Gdy napotkał jej wzrok, uśmiechnął się.

– Te szorty podobają mi się nawet bardziej niż tamta różowa bluzka – Błysnął szelmowsko oczyma. – Nie mogłem znaleźć mojego kagańca – dodał, po czym zatrzasnął drzwi.

Gdy się wślizgiwał obok na fotel kierowcy, przestała się uśmiechać. Zaskakiwał ją, drażnił, gdy się tego najmniej spodziewała. Okazało się, że jeśli ma na to ochotę, potrafi być czarujący. Najwyraźniej to był taki dzień.

Jay paplał niemal przez całą drogę, opowiadając Lissie o szkole i kolegach, o matce nie wspomniał ani razu.

– Często tu przyjeżdżasz? – spytał Joe, gdy wyszli z wozu, zaparkowawszy nad jeziorem. Z pomocą Jaya zaczął Wyładowywać kosz z wiktuałami; Lissa wyjęła dziecko.

– Nie – odparła – nigdy tu nie byłam.

– Nigdy tu nie byłeś? – Joe nie mógł uwierzyć.

– Nie mam czasu na takie eskapady, dziecko i ta cała reszta... – Wzruszyła ramionami.

– Musimy znaleźć na to sposób – oświadczył Joe. Trącił Jaya łokciem i uśmiechnął się. –

Wiesz... jest tu taka wodna zjeżdżalnia – szepnął.

– Czemu to brzmi tak złowieszczo? – spytała, a obaj panowie starali się przybrać wygląd niewiniątek.

– Jesteś proszona na bankiet – odparł wymijająco. – Ale pytam o tę zjeżdżalnię – molestowała z samozaparciem. – Czy jest bardzo wysoka?

Joe ustawił stół w cieniu drzew, a na stole wszystkie wiktuały.

– Jak wodospad Niagara – upewnił ją, lekko wykrzywiając usta.

– Rozumiem. Czy mogę się jakoś dodatkowo ubezpieczyć, albo coś w tym rodzaju?

– Mają tam taki automat, który sprzedaje polisy – droczył się z nią. – Jak na lotnisku.

– To pocieszające – mruknęła, obserwując wymianę porozumiewawczych uśmiechów między ojcem i synem. Mieli do siebie wzajem taki stosunek, jaki sama pragnęłaby kiedyś nawiązać z Suzanne.

– Zjeżdżalnia zaprasza – powiedział Joe. – Lubisz hazard?

Rozpiął dzinsy i zrzucił ze stóp trampki. Zafascynował ją widok jego silnych, masywnych nóg pokrytych czarnymi włosami. Na szczęście nie miał na sobie niczego w rodzaju tych kusych kąpielówek, zwykle tak skąpych, że raczej przypominają siatkę na włosy niż strój plażowy. Mimo to czarne slipy odsłaniały zapierające dech długie uda. Podniosła oczy wyżej, spojrzała na przesadnie wielki zegarek na przegubie jego ręki. Wzięła się w garść, odwróciła i zaczęła się rozbierać.

Gdy stała już w dwuczęściowym, czerwonym kostiumie, jedynym, jaki posiadała, Joe patrzył na nią z bezwstydnym uznaniem.

– Wyglądasz... ładnie – powiedział.

Jego oczy mówiły o wiele więcej niż „ładnie”. Dostała gęsiej skórki, jakby już ją pieścił. Zrzucił koszulę, pierś miał taką jak całe ciało, twardą i masywną, i niebywale pociągającą. Porastały ją ciemne i gęste włosy.

– No więc – spytała, by przestać myśleć o tym, że serce jej wali jak oszalałe – gdzie jest ta zjeżdżalnia? – Podniosła dziecko z koca.

– Ona naprawdę ładnie wygląda, prawda? – zauważył znowu Joe, tym razem zwracając się do syna, gdy szli pod drzewami ku rynnicy wodnej na szczycie wzgórza.

Jay uśmiechnął się do ojca.

– Tak, tatusiu, naprawdę ładnie.

Rozciągało się przed nimi błękitne, spokojne jezioro. Słońce odbijało się w nim jak w lustrze. Grupa dzieci baraszkujących na ogrodzonej liną przestrzeni opryskiwała budkę ratownika. Nieco dalej, tam gdzie jezioro zataczało leniwy łuk po piaszczystej plaży, kilka żaglówek czekało na lekką bodaj bryzę.

Wspięli się na szczyt wzgórza i Joe zapłacił za zjazd dla dwojga.

– Przypilnujesz dziecka, dobrze? – powiedział Jayowi i chłopiec odebrał małą z rąk Lissy.

Lissa nie przyznała się, że uwielbia wodne zjeżdżalnie. Pomyślała, że jest to coś, o czym ci dwaj aroganccy panowie nie muszą wcale wiedzieć.

Wybrała jedną z gumowych mat, by na niej usiąść, po czym obejrzała się i spostrzegła, że Joe siadł tuż za nią na gołej blasze. Kiedy przysiadł się do niej, spojrzała na niego drwiąco.



– To twój pierwszy ślizg – powiedział. – Pomyślałem więc, że powinniśmy zjechać razem.

– I sam wpadłeś na ten pomysł?

– Jasne – uśmiechnął się. – Mam intuicję.

Lissa mruknęła coś niewyraźnie. Uklepał matę przed sobą.

– Wszyscy na pokład!

– To długi zjazd, nieprawdaż? – powiedziała, wychylając się za krawędź rynny. Od lat nie miała ani chwili rozrywki. Teraz, gdy lekki wietrzyk igrał z jej włosami, a w dole rozlewała się nęcąca woda, gotowa byłaby przysiąc, że od codziennych trosk dzieli ją całe lata, tyle że świetlne.

– Czy robiłaś to już przedtem? – dopytywał się podejrzliwie Joe.

– Kto, ja?

– Tak, ty. – Umieścił swoje długie nogi obok jej nóg, a ramionami objął ją w talii. – A tak nawiasem, czy powiedziałem, że dobrze ci w tym kostiumie?

– Nie – odparła, nieco speszona. Ruszyli w dół. Nie była pewna, co ją bardziej podnieca: szaleńcza jazda czy oplatające ją ramiona Joego. Cokolwiek to było, krew szumiała jej w głowie. Gdy mata wślizgnęła się po raz pierwszy na niewielkie wzniesienie, Lissa wyrzuciła ramiona w powietrze i odchyliła w tył głowę tak, że niemal dotknęła ramienia Joego. Zamknawszy oczy, całkowicie poddała się zabawie. Pędzili ku następnemu wzniesieniu, Joe przysunął się jeszcze bliżej. Lissa czuła sprężystość włosów na jego piersi. Muskały jej plecy tak samo jak oddech – kark.

To się jej naprawdę podobało. Joe nie potrafił oderwać od niej wzroku, dlatego za każdym razem, kiedy wjeżdżali na wzniesienie, czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Była tak ładna i powabna, że tylko z wielkim trudem opanowywał chęć pocałowania jej w obecności Jaya. Nie dlatego, że Jay miałby coś przeciw temu. Chłopak powtarzał mu stale, że powinien sobie znaleźć jakąś narzeczoną.

Większość dzieci rozwiedzionych rodziców żywi się nadzieją, że rodzice kiedyś jakoś się znów zejdą, ale nie Jay. Widząc styl życia matki, nie marzył o tym, był realistą.

Gdy zjeżdżali znowu w dół, włosy Lissy muskały policzki Joego, wypełniając mu nozdrza świeżym, czystym zapachem. Lubił zapach jej ciała. Uśmiechnął się. Coraz trudniej przychodziło mu myśleć o niej jako o kimś, kto bez żadnych skrupułów spowodował tyle złego. Gdy się uśmiechała, nie wyglądała na osobę zdolną do popełnienia jakiegokolwiek świństwa z zimną krwią. Stale musiał sobie przypominać, że pozory mylą.

Na ostatnie wzniesienie wjechali szybciej i na chwilę zawiśli w powietrzu, po czym spadli do wody. Oboje jednocześnie, spleceni rękoma i nogami, Lissa wynurzyła się pierwsza, zarumieniona i roześmiana.

– Zimno! – krzyknęła, a jej głos potoczył się echem po wodzie. Joe pojawił się tuż przy niej i gdy kolejny uczestnik zabawy z piskiem wpadł do wody, a Lissa straciła na chwilę równowagę, chwycił ją w ramiona odruchem wręcz automatycznym. Zamarł słysząc jej śmiech. Nigdy tak się przy nim jeszcze nie śmiała. Poczuł, że rośnie w nim nie dające się ugasić pragnienie dotykania jej. Zaciśnął dłonie na ramionach dziewczyny. Śmiech nagle

ucichł. Obejrzała się, dostrzegła w jego oczach nagie pożądanie. Wiedziała, że to samo maluje się także na jej twarzy. Zarumieniła się, odwróciła głowę, udając, że szuka maty. Joe puścił ją niespiesznie. Wspięli się po stopniach na wzgórze, Joe niósł matę, Lissa wspomnienia o dotyku jego ciała. Ten mężczyzna był bardzo skomplikowany, nadal nie potrafiła go zrozumieć.

Przy pierwszym spotkaniu zdawał się zimny i bezwzględny, w stosunku do syna – łagodny i kochający, a teraz myślał o tym, żeby miała chwilę rozrywki. Nie wiedziała, skąd ta zmiana, prócz tego że wyznał, iż jej pragnie. Z pewnością nie zmienił swego zdania o niej. Znowu widziała w jego oczach ostrożność, omiatał ją owym cienistym spojrzeniem, które zdradzało cały ogrom jego nieufności. I ta nieufność współistniała z pożądaniem.

– Do licha, ty nawet nie krzyknęłaś! – powiedział Jay z podziwem, gdy wrócili na górę. – A zjeżdżałaś z rękami w górę. Całkiem jak Arnold Schwarzenegger.

Wiedziała, że w ustach dziesięciolatka jest to wielki komplement.

– Ale jesteś ładniejsza – poprawił się Jay i Lissa wybuchnęła śmiechem. Wzięła dziecko, bo teraz miał zjechać Jay.

– Jejku, konam z głodu! – oświadczył, wróciwszy na brzeg. – Tatku, masz tam coś dobrego do zjedzenia?

– Jasne, że mam – powiedział Joe, urażony synowską niewiarą w jego zdolności do robienia zakupów.

– Przywiozłem dla ciebie frytki i hot dogi, no i parę czekoladek.

– Naprawdę? – spytał Jay podejrzliwie. – A co to było, to inne, które pakowałeś?

Joe zmrużył oczy:

– To coś bardzo dobrego, dla Lissy i dla mnie. Nie martw się, ani myślę zmuszać cię do jedzenia czegokolwiek.

Lissa położyła Suzanne na kocu, potem owinęła biodra ręcznikiem i pomagała Joemu obracać rożen ustawiony w pobliżu stołu. Jay biegał dokoła nich i dawał dobre rady.

– Tatusiu, nie obracaj tego hot doga – ostrzegł.

– Lubię, gdy są przypieczone. – O rany! – wykrzyknął po chwili, ujrawszy, co ojciec stawia na stole.

Lissa patrzyła na nich szczerze ubawiona.

– Tyś to zrobił? – spytała, oglądając długi bochenek chleba, talerz *pate* oraz zimne plastry mięsa i sera.

– Mam nadzieję, że moje kulinarne talenty wywrą na tobie wrażenie – powiedział Joe, odłamując kawałek chleba. Posmarował go pasztetem i włożył do ust.

– Bardziej niż sobie wyobrażasz – przyznała. Karmiła Suzanne tartym jabłkiem i kaszką, gdy Joe napełniał jej talerz. Lissa jadła z apetytem. Mięso miało smak pikantnej marynaty i doskonale uzupełniało chleb z serem. Gdy stwierdziła, że nie przełknie już ani kęsa, Joe zaskoczył ją wspaniałą babką z jabłkami. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni jadła coś równie dobrego.

Uśmiechnął się tak, że zupełnie straciła głowę.

Potem, kiedy Jay zjeżdżał do jeziora, Joe położył się obok Lissy na kocu. Suzanne fikała

radośnie nóżkami w wózku, który ustawili w pobliżu. Lissa nie ukrywała zdumienia, że mała tak za nim przepada. Czuła się absolutnie odprężona i szczęśliwa.

Spojrzała przelotnie na Joego. Miał zamknięte oczy. Ułożył koszulę i leżał na wznak, z ramionami pod głową i jedną nogą zgiętą w kolanie. Wzięła podręcznik do literatury angielskiej. Kilka plamek słońca przebijających się przez liście drzew sprawiło, że jego włosy zdawały się iskrzyć. Był opalony, pracował przecież na powietrzu, opalenizna uwydatniała jego mięśnie.

Otworzyła książkę na stronie poświęconej Williamowi Blake'owi i próbowała skupić się na jego *Pieśniach doświadczenia*. Przebrnęła przez wiersze o kominiarczyku i o tym, co poeta dostrzegł na ulicach Londynu, ale utknęła na erotyku. Męczyzna w tym utworze przeraził kobietę swoimi żarliwymi zapewnieniami o miłości, podczas gdy ktoś obcy zdobył ją jednym westchnieniem. Lissa mogła to zrozumieć.

Joe był mężczyzną, który obudził w niej nie znane przedtem uczucia. Oszalał, była gotowa uciec od niego na krańce świata. Wiedziała jednak, że nigdy tego nie zrobi.

– Co czytasz? – spytał nagle, otwórz oczy. Speszyla się. Pomyślała, że potrafi czytać w myślach.

– Wiersze – odparła, starając się oderwać wzrok od jego twarzy i wrócić do książki. – Williama Blake'a.

– Przeczytaj mi – poprosił, przewracając się na bok.

– Dawno nie słuchałem wierszy.

– Nie chodzi ci o wiersze. – Skrzywiła się.

– W porządku. Po prostu lubię twój głos. Obserwowała go chwilę, zanim wróciła do książki.

Już jej nie drażnił. Chyba rzeczywiście chciał, żeby mu czytała wiersze Williama Blake'a. Wytrącił ją tym z równowagi. Zaczęła czytać utwór o błocie i bruku, ale zatrzymała się na pierwszym wersie, zrozumiałwszy, że i ten mówi o miłości, o dwu całkowicie sprzecznych sposobach jej postrzegania.

– Czytaj dalej – zachęcał Joe.

Lissa przełknęła ślinę i doczytała wiersz do końca, po czym umilkła. Milczeli oboje. Joe patrzył w niebo.

– Pan Blake dużo wiedział o miłości – powiedział w końcu. – Ona jest niebem albo piekłem.

– Czasem jest czymś pośrednim – szepnęła.

– Wtedy to jest obojętność – sprzeciwił się Joe.

– Wtedy miłość jest martwa.

– Nie – zaprotestowała. – Nie zgadzam się z tym.

– Objęła ramionami kolana i oparła na nich brodę.

– Z czym się więc zgadzasz? – spytał Joe. Czuła, że bacznie się jej przygląda. – Że miłość jest wieczna?

Widziała, że z niej szydzi.

– Być może – trwała dalej przy swoim, z ogniem w oczach, odwróciwszy głowę, by na

niego patrzeć – to najlepsze, co świat ma nam do zaoferowania. – Mówiła z taką pasją, jakby pragnęła przekonać o tym przede wszystkim siebie, ponieważ to ją miłość ominęła, jeśli nie brać pod uwagę miłości do Suzanne. Nie kochała żadnego mężczyzny. Miłość nigdy nie przesłaniała jej reszty świata, a więc nie była też czymś na tym świecie najlepszym.

Widząc w jej oczach migotliwe błyski, Joe nabrał pewności, że Lissa chce wierzyć w to, co mówi. Pragnęła białych koronek i miłosnych wyznań, a przynajmniej jakiejś gwarancji, że one gdzieś przecież istnieją. W błękitnych oczach malowała się dziecięca, naiwna tęsknota. Wiele by dał, by się dowiedzieć, czy, zanim związała się z Alexem, ta naiwna tęsknota popchnęła ją także w ramiona innych mężczyzn. Ku swemu zdumieniu poczuł ukłucie zazdrości. Nie życzył sobie, żeby darzyła kogoś z nich jakimkolwiek uczuciem. To dotyczyło nawet jego własnego brata.

Lissa dostrzegła, że Joe patrzy na nią ze skrywanym zachwytem.

– Nawet gdy miłość pojawia się od razu, prowadzi człowieka prosto do zguby – powiedział na pozór obojętnie. – Trudno się z tym pogodzić, ale świat miałby się lepiej, gdyby większość ludzi brała to pod uwagę. Zaoszczędziliby sobie wielu rozczarowań. – Skierował wzrok ku zjeżdżalni, na której dostrzegł Jaya. – Zaoszczędziłoby to wielu rozczarowań także dzieciom. – Wyczuła w jego głosie smutek.

– A więc w ogóle nie wierzysz w miłość? – spytała.

– Powiedzmy raczej tak: nie bardzo jej ufam. Wygląda na to, że jedna strona zawsze ulega pokusie zapanowania nad drugą.

Odwrociła głowę. Czuła, że te słowa odnoszą się do niej.

– Dlaczego tak ciężko pracujesz? – spytał nagle. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przecież musiała zarobić na Suzanne! – Czego się obawiasz? – nalegał.

Jay rozładował sytuację.

– Hej, hoop! Nie chcielibyście jeszcze raz sobie zjechać? Jezioro na was czeka!

Joe wstał i spojrzał na Lisę. Machnęła dłonią:

– Idźcie, zjedźcie razem. Muszę się uczyć. – Pochyliła głowę nad książką. Dopiero gdy odeszli, podniosła ją, żeby popatrzeć na ojca i syna jednocześnie. Byli do siebie tak podobni. Pochylali ku sobie głowy, potem siedli na wspólnej macie i zjechali z głośnym śmiechem. Patrzyła na nich z bijącym sercem. Samotny mężczyzna i chłopiec niepokojący się o jego los.

Doznawała uczuć zaskakujących ją samą, ulegała emocjom zupełnie dawniej nie znanym. Ale może to właśnie pragnął osiągnąć Joe.

Kiedy wracali wieczorem do domu, w powietrzu unosiła się wilgoć. Poczowała ból w skroniach. Dziecko marudziło, musiała je kołysać. Jay, wyczerpany zbyt długim przebywaniem w słońcu i wodzie, usnął w kącie, na tylnym siedzeniu. Joe raz po raz spoglądał na Lisę, ale milczał.

Jay ocknął się na chwilę, gdy Joe zatrzymał wóz przed domem Lissy. Uniósł się na tyle, żeby posłać jej senny półuśmiech i zapewnić, że świetnie się bawił. Po czym dodał, że w kostiumie kąpielowym wyglądała cudownie.

– Tak trzymaj, synu. – Joe zwichrzył mu z aprobatą czuprynę.

Lissa jednym ramieniem tuliła niemowlę, drugą dłonią sięgnęła po leżącą z tyłu torbę z

pieluchami, ale Joe był szybszy. Wracając do domu czuła, że on coś chowa w zanadru.

– Dziękuję za popołudnie – powiedziała, wyjmując dwa spinacze do bielizny. Przypięła nimi do sznurka swój kostium kąpielowy.

– Masz – powiedział, a gdy się doń odwróciła, chwycił ją za nadgarstek i wcisnął w dłoń kluczyki do samochodu.

– Co to jest? – spytała, chmurząc twarz.

– Daję ci ten samochód – powiedział. – Nie chcę, żebyś jeździła swoim gruchotem. – Patrząc na jej zaparkowane na żwirze auto, potrząsnął drwiąco głową.

– Nie mogę tego przyjąć – powiedziała z niedowierzaniem.

– Możesz – nalegał. – Wierzyć się nie chce, że go przepchnęłaś przez doroczną kontrolę. Jak to zrobiłaś? Poszłaś w tych szortach?

Nie przyznała mu się, że ów cud zawdzięcza pewnemu kuzynowi Bonnie Ann, który nadał pojazdowi przed kontrolą jaki taki wygląd. Spojrzała lodowato.

– Nie gniewaj się, przepraszam – powiedział, kuląc ramiona. – Nie chciałem cię urazić.

– I nie uraziłeś, wyobraź sobie.

– Posłuchaj. Nie chcę po prostu, żebyś narażała się na niebezpieczeństwa, jeżdżąc bez hamulców. – Nadal trzymał ją za nadgarstek, nie mogła więc cisnąć w niego kluczykami.

– Czemu interesuje cię mój samochód? – spytała ostro, rozeźlona jego despotyzmem. – Nie możesz mi niczego narzucać!

– Narzucę ci wszystko, co dotyczy małej – zapewnił. – Uprzedziłem cię: muszę mieć pewność, że dziecko jest bezpieczne, a skoro ten okazyjny nabytek oznacza bezpieczniejszą jazdę, jest twój i kropka.

Lissa uniosła nieco głowę.

– A co się stanie, jeśli nie będę jeździć twoim samochodem ani używać kupowanych przez ciebie pieluch? Wystarczy ci to, żeby mi odebrać Suzanne? Nie chcę, żebyś sterował moim życiem, Joe!

– Daj spokój, Lisso! Bądź rozsądna. Ja ci tylko próbuję pomóc, ale jeśli zechcesz się upierać przy swoim, zobaczysz, że nie dam się załatwić tak łatwo jak mój brat.

Poczerwieniała z gniewu.

– Nie załatwiłam twojego brata, przestań wreszcie zwalać na mnie winę!

– A jak to nazwiesz? – krzyknął. – Miałas go dość i odeszłaś. Pokróćce rzecz ujmując, to jest właśnie załatwienie faceta, moja droga.

Targnął nią wewnętrzny śmiech, ale w głosie kipiała furia:

– Chcę, żeby między nami jedno było jasne, Joe – mówiła. – Nie załatwiłam Alexa, cokolwiek o tym myślisz. Odeszłam, kiedy zobaczyłam, że jest zajęty kim innym.

Powinna, na widok szoku na jego twarzy, zamilknąć, ale nadal wylewała z siebie gniewne słowa:

– Nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie myślałeś, kiedy do mnie przyszedłeś pierwszy raz. Sądziłam tylko, że jesteś taki sam jak twój brat – samolubny i gruboskórny. No, może niezupełnie taki jak Alex. Ale moim życiem kierować nie będziesz.

Zmartwił kompletnie, nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy. Nagle poczuła niechęć do

samej siebie za wypowiedziane przed chwilą słowa.

– Nic mnie już nie obchodzi, co robił – mówiła. – Nie dbam o to. Ty też nie musisz niczego robić ani dla mnie, ani dla tego dziecka. Nie musisz remontować mieszkania pani McGee. Nie musisz się troszczyć o mój wyczuła, że się za chwilę rozbeczy. Dziecko zaczęło marudzić.

– Nie wiedziałaś, że był zaręczony? – spytał, nie wierząc własnym uszom. Widziała, że jej nie dowierza.

– Jakim cudem? Wiedziało o tym całe miasto.

– No więc dlaczego żaden z porządnych obywateli tego miasta nie wspomniał mi o tym ani słowem?

– zaatakowała. – Dlaczego Alex zawsze zabierał mnie tam, gdzie się nie spotyka nikogo? Dlaczego tak szybko wyszliśmy z restauracji, kiedyśmy się natknęli w niej na ciebie? Czemu, Joe?

– Nie mogłaś nie wiedzieć – powtórzył, nadal nie dowierzając.

– Do diabła, widać mogłam, puść mnie! – usiłowała wyrwać ramię z uścisku, czując doskonale, jak porażająco działa na nią jego dotyk.

Odwrócili się jednocześnie. Lissa poczuła skurcz serca, ujrawszy stojącego przed domem Jaya, który patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma.

– Zabawka Suzanne – powiedział niepewnie, trzymając zieloną pluszową żabę. – Znalazłem ją na podłodze... – Ruszył ku nim powoli, patrząc to na nią, to na niego, jakby się w czymś upewniał. Położył zabawkę na torbie z pieluchami.

– Chodź, Jay – powiedział ciepłym głosem Joe, objąwszy chłopca ramieniem. – Jedziemy.

Jay patrzył badawczo na ojca; usiłował odczytać, co przed chwilą zaszło między nim a Lissą.

– Do licha – mruknęła Lissa, potrząsając Suzanne, gdy mała zaczęła kwilić. Powoli rozwarła mocno zaciśnięte palce i ujrzała, że kluczyki odgniotły swój kształt na wnętrzu dłoni.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Była siódma wieczorem, a Joe nawet nie tknął stojącej przed nim puszką z piwem, którą otworzył przed godziną. Trącił ją bezmyślnie kciukiem i spojrzał na swoje odbicie w motelowym lustrze. W patrzących na niego oczach malowała się aż zbyt dobrze znana udreka. Pamiętał ten wyraz bólu. Widział go wielokrotnie w oczach brata.

Alex nie umiał zatrzymać szczęścia. Joe zaczynał podejrzewać, że sam też tego nie potrafi. Nigdy nie miał czegoś, co było mu potrzebne lub czego pragnął, jego małżeństwo również było pomyłką. Raz tylko pomyślał, że Alex coś w końcu osiągnął: zaręczył się z ładną kobietą i zdawał się naprawdę szczęśliwy. Ale potem Joe zobaczył go z Lissą Gray i zrozumiał, że brat znów traci swoją szansę.

I Joe oskarżył o to Lissę.

Jay wiercił się w łóżku.

– Tatusiu – spytał sennym głosem – kiedy się położysz?

– Za chwilę, synku – powiedział Joe cicho. Nie odrywając oczu od lustra, wyciągnął ramię i wyłączył zwisającą z sufitu słabą lampę. W żadnym motelu nie znajdował wystarczająco jasnego oświetlenia, ale tego wieczoru uznał to za korzystne, ponieważ był z nim Jay, który próbował zasnąć.

Sam nie mógł spać. Słowa wypowiedziane przez Lissę wracały uporczywym echem. Nie wiedziała, że Alex był zaręczony. Nie wiedziała. Opuścił głowę i oparł czoło na dłoniach. Jakże mogła nie wiedzieć?

Powiedziała, że Alex trzymał ją z dala od swoich przyjaciół i rodziny, od wszystkich, którzy znali go bliżej. To możliwe, ale nie mógł uwierzyć, że Alex był zdolny do oszukiwania dwu kobiet jednocześnie.

Joe znał swego brata lepiej niż ktokolwiek – albo zawsze tak sobie tylko wyobrażał – a teraz musiał to zrewidować. Alex był samolubem, ale potrafił zarazem być szczodry wobec rodziny. Nigdy z żadną kobietą nie pozostawał w trwałym związku, zawsze zrywał pierwszy, w każdym razie aż do pojawienia się Lissy. Jawnie przechwalał się swymi zdobyczami i afiszował z każdą kolejną kochanką. W końcu trafił na Lissę. Joe musiał przyznać, że nie kłamała. Alex ukrywał ją przed rodziną bardzo starannie.

Pamiętał ten wieczór, kiedy natknął się na Lissę i Alexa, tak jakby to było wczoraj. Śliczna dziewczyna, której uśmiech świadczył o wyrachowaniu. Już wtedy, wbrew woli, poczuł, że coś go do niej ciągnie. Alex tłumaczył potem, że to przyjaciółka przyjaciółki, osóbką, na którą natknął się w barze i która sama go zaczepiła. Zapewniał, że spróbuje ją spławić.

Oczywiście, Alex kłamał.

Joe potarł dłonią powieki. Zawsze cholernie trudno było dociec prawdy, gdy jego brat był w coś zamieszany. Jeszcze jako chłopiec potrafił być tak sprytny, że wszystko uchodziło mu na sucho. To smutne, ale zawsze wierzył we własne wersje zdarzeń, bez względu na przeczące im dowody. Potrafił tak przekonywać, że Joe, który brał stronę młodszego brata w

każdej z wywołanych przezeń awantur, ponosił potem przykre tego konsekwencje. Alex był czarusem, ludzie darzyli go zaufaniem.

Zwłaszcza Joe. Zawsze wierzył, że Alex jest człowiekiem honoru i że jego wpadki są jedynie pomyłkami. Teraz stawał wobec prawdopodobieństwa, że jedna z tych pomyłek mogła być czymś poważniejszym. Czy Alex był zdolny aż do takiego oszustwa? Czy może to Lissa kłamie, żeby zachować twarz?

We wtorkowy wieczór Lissa wróciła ze szkoły skonana, ale usłyszawszy radosny szczebiot Suzanne, uśmiechnęła się pogodnie i zaniósła ją do mieszkania. Rzuciła książki na stół, posadziła na nim dziecko i delikatnie połaskotała w podbródek.

– Pani McGee mówi, że zjadłaś kotlecik, moje ty чудо – mówiła pieszczotliwie do fikającej nóżkami córeczki. – Jesteś wspaniała!

Ktoś głośno zastukał do frontowych drzwi. Zaskoczona pogładziła główkę Suzanne. Mała szeroko otworzyła oczka.

– Zaczekaj, mama sprawdzi, kto tak się dobija. Poszła ku drzwiom na palcach, uchyliła je odrobinę i zerknęła przez szparę w ciemny korytarz. Usłyszała dochodzące z dołu tłumione przekleństwo i znajomy głos:

– Jezuu, tatku! – skarżył się Jay. – O, kontakt jest tutaj. – Lissa cofnęła się szybko i zamknęła drzwi dokładnie w chwili, gdy na korytarzu zabłysło światło. Szybko poprawiła na sobie dzinsy i różową bluzę, dopiero potem otworzyła drzwi. Stał za nimi Jay. Patrzył ukradkiem na dół, Lissa domyśliła się więc, że zapukał do niej bez wiedzy ojca.

– Wprowadzamy się – powiedział nieśmiało. – Czy... no... jest troszkę gorąco... czy nie ma pani jakiejś wody sodowej... ?

Uśmiechnęła się do chłopca.

– Musimy zajrzeć do lodówki! – Jayowi wyraźnie ulżyło. Lissie było jeszcze przykro, że w niedzielę był świadkiem jej kłótni z Joem. Ale ten chłopiec z pewnością widywał nie takie awantury pomiędzy własnymi rodzicami.

Jay pił wodę, opowiadając o filmie obejrzanym poprzedniego wieczoru w telewizji. Podał Suzanne palec do potrzymania, uśmiechnął się i ruszył ku drzwiom.

– Proszę pani – powiedział wychodząc – zapraszamy panią i Suzanne na obiad, jak się tylko rozpakujemy.

Lissa uniosła brwi.

– My, to znaczy kto?

– Ja i tata – odparł z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Jay – powiedziała wylężniona, że chłopiec pokłada w niej zbyt wielkie nadzieje – stosunki między mną i twoim tatą nie są ostatnio najlepsze. Powinieneś chyba z nim porozmawiać, zanim mnie zaprosisz.

– E tam – zapewnił – ja znam tatę. Wiem, że się zgodzi.

Lissa nie była tego tak pewna, natomiast Jay nie miał żadnych wątpliwości. Zbiegł na dół sprawdzić, co porabia ojciec, wrócił po dziesięciu minutach, żeby się wykapać, po czym spytał, czy jest tego wieczoru bardzo zajęta.

– Jay – zaczęła – naprawdę nie sądzę... – Ale nie dał się odstraszyć.



– Tato powiedział, że pojedziemy zamówić na wieczór pizzę. Ja zjem tylko trzy kawałki, więc dużo zostanie dla pani. Pani nie lubi zielonej papryki? – spytał przerażony na myśl, że taka straszliwa możliwość istnieje.

– Mogę ją jeść albo nie – uspokajała – ale Jay...

– No to lecę.

Zniknął znowu, żeby się pojawić po kwadransie, głodny i ciekaw, czy nie ma jakichś ciastek. Ponowił zaproszenie na kolację, tym razem uzupełnione prośbą, żeby doniosła coś na deser, zapewniając przy tym, że ciastka wystarczą.

Na schodach rozległ się hałas, po czym dały się słyszeć gniewne pokrzykiwania. Joe wołał syna.

– Psiakość! – powiedział Jay. – Zabronił mi panią molestować. – Wzruszywszy ramionami otworzył drzwi i spytał tonem filozofa: – Czy potrzebujesz mnie, tatusiu?

– Tak! – Lissa ujrzała przez ramię Jaya, że Joe zmęczony i spocony moczkuje się na podeście ze składanym łóżkiem. – Musisz mi pomóc w tej przeprowadzce. A poza tym, co ci mówiłem na temat naprzykrzania się ludziom?!

– Nie pukaj do cudzych drzwi! – powtórzył Jay przykładnie, acz z lekkim zniecierpliwieniem.

– Właśnie. A teraz chodź tu. – Joe wyciągnął syna na zewnątrz. Spojrzał przelotnie na Lissę, wydało się jej, że dostrzegła w jego spojrzeniu błysk jakiegoś wzruszenia; było zmysłowe i surowe zarazem. Na podeście panował półmrok, nie miała więc pewności. Tak czy owak, serce zabiło jej mocniej.

Przeniosła dziecko do kuchni i wyteżyła słuch. Najwyraźniej spierali się o coś zawzięcie. Udawała, że sprząta, ale ilekroć słyszała głosy, przerywała krzątanie. Nie rozróżniała słów Jaya, tylko z jego tonu wyczuła, że bierze ojca pod włos.

Wreszcie spór został rozstrzygnięty – albo tak się jej tylko wydało – i ktoś zapukał do drzwi.

Otworzyła, stał za nimi Jay.

– Przerwa na ciastka? – spytała z uśmiechem.

– Nie – zaprzeczył. – Chcę porządnie zgłodnieć przed pizzą. Tato powiedział, że bym cię zaprosił. – Zmarszczył czoło i poprawił się: – Nie, powiedział, że ja cię powinienem zaprosić, a o nim mam nie wspominać.

– To lepiej. W takim razie przyjdę do was na pizzę. Jay wybuchnął radosnym śmiechem.

– Wspaniale! Chodź, zobaczysz, jak wygląda nasze mieszkanie.

Lissa, trzymając dziecko na ręku, kolanem zamknęła drzwi i poszła za chłopcem. Drzwi do drugiego mieszkania pozostawały uchylone, słyszała więc, że Joe krząta się za nimi nerwowo.

Stanął za plecami Jaya, gdy ten wszedł do kuchni. Joe podniósł głowę i Lissa dostrzegła zmianę w wyrazie jego twarzy. Spojrzał na nią i uciekł wzrokiem w bok. Ubrany był w czerwoną koszulę bez rękawów i podniszczone džinsy, a na głowie miał baseballową czapkę.

– Zostałam zaproszona na kolację – powiedziała z wahaniem, ogarnięta niepewnością,

czy przypadkiem nie popełniła błędu przyjmując zaproszenie Jaya.

– Kolacja, no tak. – Joe spojrział na nią raz jeszcze, nie zdradzając swych myśli. Nie była też pewna wyrazu własnej twarzy. Czuła się przy nim nieswojo. Obawiała się silnych emocji, jakie w niej wyzwał: gniewu, namiętności, żalu.

Obrona. Z całą pewnością, myślał Joe, przyjęła pozycję obronną. Widział, że spłoszona ogląda w mieszkaniu wszystko oprócz niego. Był pewien, że spodziewała się kolejnej porcji zniewag z jego strony, a mimo to przyszła. Ma dziewczyna charakter. Od pierwszego spotkania nie unikała z nim walki.

– Zamawiamy pizzę, tatusiu – pisnął Jay.

– Pizzę? – drażnił się z nim Joe, udając, że zapomniał o obietnicy. – Ale ja mam tylko to, co potrzebne do tej fantastycznej rolady z cielęciny.

– Z cielęciny? – przeraził się chłopiec – ale tatusiu, powiedziałaś, że pizza... – Joe wyduł wargi i Jay zrozumiał, że ojciec tylko się z nim droczy. – No wiesz, tatku – powiedział urażony – doprowadzisz mnie do zawału.

– No więc jak ci się podoba to nasze mieszkanko? – spytał Joe, zwracając się wreszcie do Lissy.

Lissa oglądała niespiesznie spękane kafle, łuszczącą się i wyblakłą farbę, stłuczone szyby, dyndające pręty zasłon, miotełki do kurzu, a na środku stertę rzeczy Jaya i Joego.

– Myślę, że jeśli się pośpieszymy, to zdążymy tu ściągnąć na pomoc pluton wojska – mruknęła.

– Nie masz pojęcia, jak można tu mieszkać? – spytał Joe z uśmiechem. – Popatrz na te wnęki okienne, na tę stolarkę. To potencjał!

Spojrzała i dostrzegła tylko spękane, obłupane deski i pajęczyny, ale uśmiechnęła się, ponieważ Joe patrzył na to z wielkim optymizmem.

– Myślę, że twój „potencjał” troszkę nadgnił – powiedziała.

– Mogę to połatać – zapewnił z taką miną, że znowu musiała się uśmiechnąć. Był niezwykle pewny siebie, gdy budował most, urządzał mieszkanie czy kochał syna. I kiedy miał do czynienia z kobietą.

Spojrzała na jedną z otwartych szafek, a potem znowu na Joego.

– Ta kuchnia jest do niczego. Nie wkładaj żywności do tych szafek, bo ci wszystko zjedzą pająki.

– Mówisz, że te szafki się nie nadają?

– Jasne. Trzeba je porządnie oczyścić, potem pomalować i wyłożyć papierem. Zostało mi trochę, mogę ci dać.

– Masz u mnie dwa obiady – obiecał.

Zaczęła porządkować kredens, Jay zajął się dzieckiem.

– Popatrz – pokazała mu dłoń umazaną brudem i oblepioną pajęczyną. – Należy mi się za to premia...

– Pora na zamawianie pizzy! – ogłosił Joe dwie godziny później. Lissa wstała, otrzepała spodnie z kurzu i cofnęła się, by ocenić swoje dzieło – półki wyszorowane, wyłożone ceratą w żółtą kratę.

– Ja chcę ze wszystkim! – krzyknął Jay. Siedział w saloniku z Suzanne na kolanach, jednocześnie patrząc w telewizor. – Z wyjątkiem zielonej papryki i tych śmierdzących małych rybek! Joe uniósł ramiona.

– Dwie wielkie pizze. Lissa wybierze dodatki. Dostrzegła w jego oczach nadzieję.

– Zgoda – powiedziała, zmieszana pod wpływem tego wzroku, wycierając uporczywie dłonie w dzinsy.

– Zdecydowałam; wszystko, prócz zielonej papryki i anchois.

– Tak! – krzyknął Jay. Podskoczył z małą w ramionach i powtórzył: – Tak! – Suzanne, zawsze chętna do zabawy, gaworzyła szczęśliwa, że ktoś ją kołysze.

– Dokręciłem kran nad umywalką – powiedział Joe – gdyby ktoś chciał się umyć. – Posłał synowi znaczące spojrzenie; Jay westchnął teatralnie.

– Masz na myśli mnie, tatusiu, no nie? – westchnął raz jeszcze, przekazał Suzanne ojcu, a sam ruszył do łazienki.

Lissa wybiegła po coś do swego mieszkania, a gdy wróciła, Jay był zajęty grą komputerową podłączoną przez ojca do małego telewizorka.

– Zafundowałeś mu wideo?

– Jay musi mieć jakieś rozrywki. – Wzruszył ramionami. – Latem zabieram go wszędzie, gdzie można, nawet kiedy jadę do miasta albo do pracy. Nie chcę, żeby się nudził.

Lissa nie mogła sobie wyobrazić nudy u boku Joego.

– A co robi, kiedy pracujesz? – spytała, szczerze zaciekawiona.

– Zwykle z kimś zostaje – odparł Joe. – Ma tu kolegę, rówieśnika, mieszkają z babką na końcu ulicy. Mam zamiar jej płacić za opiekę nad Jayem, kiedy nie będzie chciał jechać ze mną na budowę.

Pomyślała, że musi go męczyć ta próba prowadzenia normalnego rodzinnego życia z synem, skoro sam stale przebywa poza domem. Z drugiej strony cóż ona mogłaby powiedzieć o normalnym rodzinnym życiu?

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do drzwi. Przyniesiono pizzę.

Obaj panowie jedli z wilczym apetytem, ale ostatnią porcję zostawili dla Lissy, mimo iż zapewniała, że za chwilę pęknie.

– No to nie krępuj się, pękaj – zachęcał Joe, nakładając jej ostatni kawałek. – I tak mam zamiar malować ściany.

– Dobra robota, tato! – zaśmiał się Jay. Joe zmierzwił mu włosy i dał lekkiego kuksańca w ramię.

– No ładnie, synku, a teraz porządnie się wypucuj!

– Ależ tatusiu, nie muszę tego robić – zaprotestował Jay. – Przecież nie mam już żadnych czystych ubrań, zapomniałeś?

– Ach, ty – mruknął Joe. – Miałem zamiar dziś wieczorem zrobić pranie. – Wsunął dłoń w jego włosy. – Słuchaj – zwrócił się do Lissy – mówiłaś, że w piwnicy jest pralka, tak?

– Suszarka też – odparła. – Jeśli chcecie, pokażę wam, jak działają. One także miewają swoje humory.

– Wspaniale, dzięki! – Joe zebrał stertę ubrań, wepchnął je do worka i odesłał Jaya do

łazienki, żeby się umył przed snem. – A nie zapomnij wyczyścić zębów – rzucił mu przez ramię, idąc ku drzwiom.

W piwnicy Lissa pociągnęła za sznurek uwiązany do jedynej żarówki i stanęła tuż poza kręgiem jej światła, podrzucając Suzanne; Joe wywalał z worka ubrania i pakował je do pralki.

– Chcesz to wszystko prać razem? – spytała sceptycznie, widząc, jak wpycha parę granatowych dzinsów i białą bieliznę.

Posłał jej smutny uśmiech.

– Jednego się nauczyłem, jako samotny ojciec:

kompromisu. Jay na szczęście lubi bieliznę w pastelowych kolorach.

Patrzyła, jak ustawia temperaturę i przekręca włącznik maszyny.

– Musisz obrócić dwa razy – poradziła. – To prawie sejf. Wymaga właściwej kombinacji. Tak, dobrze. Teraz grzmotnij w nią pięścią.

Nie dowierzał, ale zastosował się do wskazówek. Maszyna zaczęła działać.

Rozprostował plecy i popatrzył na Lissę badawczo.

– Wczoraj przywieziono pieluchy – powiedziała z wahaniem. – Dziękuję.

Skinął głową.

– Dlaczego nie jeździsz moim samochodem? – spytał, gdy umilkła.

Westchnąwszy głęboko, powiedziała:

– Lubię mój wóz. Był ze mną w tyłu tarapatach, więc myślę, że zasługuje na lojalność.

– Na litość boską, Lisso! – Odszedł od pralki i ruszył z wolna w jej stronę. Cofnęła się jeszcze dalej od krawędzi światła, Joe zatrzymał się, chmurny. Naga żarówka rzucała na jego twarz kanciaste cienie. – To kupa złomu! Jesteś lojalna wobec auta, a ani trochę wobec mężczyzny?

– Właśnie tak! – Słowa Joego sprowokowały ją do zdecydowanej odpowiedzi. – Jestem zimna, bez serca, egoistka, i guzik mnie to wszystko obchodzi! Zadowolony? Nie to właśnie chciałeś usłyszeć, Joe?

– Nie – odparł twardo. Robiąc następny krok potracił głową żarówkę i rozhuśtał ją. Cienie zakrywały i odsłaniały jego twarz, niczym chmury słońce. Patrząc na Lissę zdawał się kipieć gniewem, na chwilę zamknął oczy. – Nie – powtórzył cicho. – Nie to chciałem usłyszeć.

– Więc co? – spytała niepewnym, nagle złagodniałym głosem.

Joe niecierpliwie wzruszył ramionami. Nie mógł odpowiedzieć. Ilekroć na nią patrzył, zżerało go pożądanie, pragnienie porwania jej w ramiona, zanurzenia się w niej do dna. Cierpiał katusze. Miał wrażenie, że Lissa szydzi z jego, tak starannie ukrywanych, emocji. Ekszona nauczyła go trzymania się w ryzach. Jediną osobą, jaką darzył uczuciem, był Jay. Sądził, że całkowicie pozbył się wrażliwości. A potem spotkał tę kobietę.

– Nie wiem, do diabła. – Ponownie wzruszył ramionami. Ale wiedział. Chciał usłyszeć, że i ona pożąda go tak bardzo jak on jej.

Popatrzyła na niego nieco dłużej, taksowała wzrokiem, usiłowała zrozumieć, ale właśnie rozkaprysiła się Suzanne. Lissa przytuliła małą do piersi.

– Muszę iść. Robi się późno. Suzanne powinna już być w łóżeczku.

– Pójdę z tobą – powiedział, gdy ruszyła ku drzwiom.

Od kilku dni myślał niemal wyłącznie o niej, a więc i sypiał marnie. Był zmęczony i brudny, mimo to nie chciał się jeszcze z nią rozstawać.

– Co to? – spytał, wyłączwszy lampę. W ciemnym świetle ulicznej latarni dostrzegł rzucony na stertę jakichś rupieci fotel na biegunach.

Przystanąła.

– To własność pani McGee. Złamał się jeden biegun. Chciała go wyrzucić, ale w końcu przyniosła tu.

– Naprawię to – powiedział, zdjawszy fotel ze sterty. Pochylił się, by go obejrzeć.

– Myślisz, że będzie miała coś przeciwko temu?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła. – Będzie pasował do twojego mieszkania.

– Myślałem raczej o twoim – powiedział, nie zwracając uwagi na jej zaskoczenie. Podniósł fotel i ruszył ku schodom. Poszła za nim, pełna mieszanych uczuć. Wszystko, co do niej mówił, brzmiało jak rozkaz, a potem nagle zmieniał ton i stawał się całkiem miły. Chociaż niektóre z tych miłych gestów także bywały władcze, podsumowała rozdrażniona.

– Muszę szybko wykapać Suzanne – powiedziała już w drzwiach do mieszkania. Joe zostawił fotel na półpiętrze i wszedł na górę.

– Pomogę ci – zaproponował, pragnąc być przy niej, ciekaw równocześnie, czy zaprotestuje. Lissa jednak wzruszyła tylko ramionami, jakby chowając się w ochronną skorupę. Obejmowała dziecko ramieniem, Suzanne chwyciła rączką bluzkę mamy i odsłoniła jej szyję. Joe pomyślał, że ten obnażony karczek i obojczyk są nader pociągające. Podała mu dziecko, uśmiechnął się, gdy mała chwyciła z kolei jego koszulę i zaczęła szczebiotać, przytulając buzię do tkaniny. Jeszcze niedawno tak trzymał Jaya. Ale to należało już do przeszłości.

Zajrzał w oczy Lissy i nagle zrozumiał, że skoro patrzy na niego tak miękko i czule, to niech diabli porwą wszystkie krzywdy, jakich doznał w małżeństwie.

Sprawdziła wodę łokciem, potem odebrała mu Suzanne i położyła, by ją rozebrać. Dziecko uwielbiało kąpiel, gaworzyło, śmiało się, fikało nóżkami na sam widok wody. Potem pluskało się radośnie, a Lissa uśmiechała się, szczęśliwa. Sięgając po gąbkę poprosiła:

– Podaj mi mydélko, Joe.

Spełnił jej prośbę, zdając sobie sprawę, że ogarniają go uczucia, jakich nie doznawał od lat. Nagle uprzytomnił sobie, jak bardzo mu czegoś takiego brakowało.

– Nie chciałbyś jej namydlić? – spytała. Zawahał się, potem postąpił krok naprzód i zaczął pocierać Suzanne mydélkiem. Pieniło się obficie. Suzanne była zachwycona. Lissa śmiała się cichutko. Spojrzał na nią i natychmiast zapomniał o całym świecie. Wyglądała tak ciepło i pociągająco.

Przyjrzała mu się uważniej i śmiech zamarł na jej wargach..

– Ja to zrobię – powiedziała, odbierając mydło. Dotknęła palców Joego i natychmiast cofnęła dłoń. Spuściła powieki i myła Suzanne, już nie spojrzawszy ani razu na Joego.

Stał blisko, czuła, że krew rozsadza jej skronie, jakby była zwariowanym, zakochanym podlotkiem, całkowicie pozbawionym rozsądku. Wyczuwała także jego reakcje. Gdy płukała

dziecko, sięgnął po ręcznik. Podała mu wierzgającą i roześmianą Suzanne.

– Czyż to nie wspaniałe? – szepnęła, uśmiechając się do zachwyconej córeczki.

Spojrzeni na siebie jednocześnie i natychmiast spuścili wzrok. Lissa nie miała pojęcia, czy kazać mu już wyjść, czy prosić, by został. Nie była pewna, czego chce, walczyły w niej sprzeczne uczucia, wiedziała jedynie, że jeśli natychmiast do niej nie przemówi – zacznie krzyczeć. Pragnęła, by jej dotknął; na sam jego widok drżały jej kolana. Potrzebowała jego sarkazmu, żeby utrzymać się w ryzach.

Wytarła gaworzącą Suzanne, zaniósła do jej wnęki. Dziecko uśmiechając się, usypiało po kąpielu. Lissa musnęła palcem policzek córeczki, zdejmując jakiś włos.

– Śpij mocno, moja maleńka – szepnęła. Suzanne przymknęła powieki, zdołała powiedzieć „buuu” i już spała. Lissa odwróciła się i spojrzała na Joego z lękiem w oczach. Gubiła się w targających nią uczuciach. Nie wiedziała, w co się pakuje, ale nie potrafiła się już wycofać. Odetchnęła głęboko i oderwała wzrok od tych ciemnych oczu, przyglądających się badawczo jej twarzy.

Joe poszedł za nią cicho do kuchni. Lampa u sufitu świeciła słabo, z trudem rozjaśniając mrok i kładąc na stole cień, przypominający do złudzenia koronkową serwetę. Oboje poczuli się niezręcznie.

Wyglądała tak ślicznie mimo czającej się w oczach nieufności. Nadal mu nie dowierzała, on zaś uznał, że niczym sobie na to nie zasłużył. Zdawał sobie jednak sprawę, że od kiedy spojrzał na nią po raz pierwszy, nieodmiennie doprowadzał ją do szału. Przypuszczał, że pragnęła się go pozbyć ze swego życia, ale już nie miał wyboru. Usłyszał w ciszy tykanie zegara.

– Nie masz ochoty na kawę, albo na coś w tym rodzaju? – spytała wreszcie, przerywając milczenie.

Na coś w tym rodzaju. To bardzo obiecujące, pomyślał. Pragnął od Lissy Gray czegoś więcej, niż ona miała ochotę mu dać.

– Nie – odparł, wolałby powiedzieć: tak. – Zaczynam pracę na budowie wczesnym rankiem. Powinienem już iść, muszę zajrzeć do Jaya. Naprawię ci ten stary fotel.

Był wykończony. Widziała to w jego podkrążonych oczach i linii ramion. Pracował na budowie cały dzień, a potem przez cały wieczór zajmował się mieszkaniem. Pomyślała, że zbyt zajęty pracą, nie ma czasu, żeby myśleć o innych sprawach. Ale w takim razie, ku czemu zmierza Joe Douglas?

– A ja muszę się napić herbaty – powiedziała, odwracając się do niego plecami. Musiała czymś zająć ręce. Wstawiła do kuchenki mikrofalowej kubek z wodą. – Lubię wieczorem wyjść z herbatą na balkon i posiedzieć. Przyzwyczyłam się do tego. Kiedy byłam w ciąży z Suzanne, musiałam sobie przemyśleć... – urwała w pół słowa. Chciała powiedzieć: przemyśleć, co zrobić ze swoim dalszym życiem. – Fotel się przyda – dodała cicho.

– Liso – szepnął spoza jej pleców, głosem niskim i dźwięcznym. Odwróciła się, by stwierdzić, że stoi tuż za nią. Jego oczy miały wyraz takiego samego napięcia, jakie usłyszała w jego głosie. – Ja tego nie chcę – mówił, zaciskając dłonie na jej ramionach i przyciągając ją do siebie.

– Ja także nie. – Zdołała jeszcze nabrać powietrza, zanim zamknął jej usta swoimi ustami i zagłuszył ostatnie słowo.

Tak długo na to czekała, by ją objął i pocałował. Nie miała go dosyć, oplótła ramionami jego kark i wygięła ciało w łuk.

Oderwał się tylko po to, by złapać szybki, drżący oddech, po czym znów ją całował z zachłannością mężczyzny, który stracił nad sobą panowanie. Objął Lissę w tali i wsunął dłonie pod różową bluzeczkę. Przytuliła się do niego mocniej, gdy nakrył nimi piersi, nacisnął opuszkami kciuków sutki. Czuł, jak twardnieją.

– Lisso – jęknął, uzupełniając rękoma to, czego nie zdołał powiedzieć. Pożądał jej. Pożądał tak bardzo, że odrzucił wszystkie swoje zasady i wszystkie wątpliwości, byle tylko móc jej dotykać właśnie w ten sposób.

Pocałowała go w kłujący podbródek i westchnęła głęboko, gdy zniżył głowę, by znów nakryć wargami jej usta. Dotyk szorstkich policzków był podniecający. Oddychała coraz spieszniej, coraz krócej, wprost w jego włosy. Pachniał tak cudownie, myślała, zapachem ciężkiej pracy i męskości, i tym bardziej podniecająco, że od dawna nie miała tak blisko przy sobie mężczyzny. Gdy opuścił dłonie niżej, dała mu poznać, że też go pragnie.

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Popatrzył na nią rozbawiony, marszcząc przy tym czoło. Podniósł do góry jej twarz. Znieruchomiała.

– Lisso – powiedział cicho, dysząc ciężko i kładąc drugą dłoń na jej ramieniu.

– Ja nie... wiem, co się ze mną dzieje – wyznała bezradnie. I naprawdę nie wiedziała.

– Lepiej sobie pójdę – powiedział, delikatnie ocierając kciukiem jej łzy. – Już późno. – Widać było, że mówi to wbrew sobie, szybko przyciągnął ją i zanurzył twarz w jej włosach. Trwali tak minutę, nim ją w końcu od siebie odsunął.

Szedł ku drzwiom, a ona nie mogła oderwać od niego oczu. Był wspaniałym mężczyzną, miał w sobie ten rodzaj siły, której nic nie było w stanie zachwiać. Mogłaby tej nocy bodaj część jego sił wykorzystać dla siebie.

– Joe. – Nie zamierzała wymówić jego imienia z takim bolesnym pożądaniem w głosie. Gdy się odwrócił, nie wiedziała, co ma powiedzieć. Zostań ze mną, pomyślała. Oboje pragnęli tego jeszcze przed minutą, ale teraz ta chwila nieodwołalnie minęła.

– No cóż – powiedział z krzywym uśmiechem na ustach i powagą w oczach. Zauważyła, że zacisnęła szczęki. – Nie jest nam łatwo, Lisso, zgadzasz się ze mną? Jesteśmy w piekielnym potrzasku. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się to czasem musi poplątać. – Wpatrywał się w jej oczy, czuła, że jest spięty. Pragnęła go objąć, ale miał w wyrazie twarzy coś, co nie pozwoliło jej ruszyć z miejsca. – Ja także miałem malutką dziewczynkę – powiedział nagle stwardniałym głosem, jakby słowa z trudem przeciskały się przez zdławione gardło. – Siadywałem z nią w fotelu, kiedy popłakiwała w nocy. – Zdawało się, że już nic więcej nie powie, ale dodał: – Może właśnie dlatego idzie to nam jak po grudzie. Muszę zapomnieć o przeszłości.

Potem wyszedł, a ona patrzyła na drzwi. Mój Boże. Jakież ten człowiek musiał przejść piekło?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nad ranem obudził Lisse deszcz, zerwała się, by zamknąć okno. Najpierw jednak postąpiła w nim chwilę, chcąc pooddychać zapachem wilgotnej świeżości. Potem już nie mogła zasnąć, narzuciła więc na ramiona podomkę i poszła do kuchni.

Napełniła wodą kubek i otworzyła kuchenkę mikrofalową. Westchnęła na widok innego kubka z wodą, wstawionego tam wczoraj. Miała w oczach Joego i jego spojrzenie, zanim wyszedł. Gdyby wrócił do niej teraz, poszłaby z nim natychmiast do łóżka, na pohybel wszystkiemu, co ich dzieliło.

Po raz chyba setny przekonywała sama siebie, że nie może tego zrobić. Nie potrafiła znieść obecności Joego za ścianą. Był tak blisko, że wystarczyłoby otworzyć drzwi i zawołać go w środku nocy. Gdyby tylko mogła się na to zdobyć.

Ale to wydawało się zbyt trudne.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze po tym, co powiedział zeszłej nocy. Miał córeczkę. Długo nie zmrużyła oka, patrząc w sufit i zastanawiając się, co go spotkało. Czy poniesiona strata sprawiła, że tak bardzo zapragnął opiekować się Suzanne? Może mogło to także tłumaczyć jego groźbę, że roztoczy nad dzieckiem ścisły nadzór. Zadrżała. Joe, którego zaczynała poznawać, nie byłby do tego zdolny, na pewno. Zaparzyła sobie kawę, włożyła turkusową bluzkę i dzinsy. Wybiła siódma, ktoś zastukał do drzwi.

Wiedziała, zanim je otwarła, że to Joe.

– Zabrakło mi mleka – powiedział z miną winowajcy. – Nie mogłabyś mi trochę pożyczyć?

Gdy wszedł, nie o mleku oboje pomyśleli. Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczyma, niemal rozbierając wzrokiem. Wyczuła, że jest niezdecydowany.

– A co do wczorajszej nocy... – zaczął z wahaniem.

– W porządku – rzekła wbrew sobie. – Rozumiem. Nie musisz o tym wspominać.

– Ale ja chcę – powiedział z naciskiem, znowu podniósłszy na nią wzrok. Usiadł, potem się niemal natychmiast poderwał i zaczął chodzić po kuchni.

Był wzburzony. Lissa wiedziała, że rozmowa z nią zbyt wiele go kosztuje. Odwróciła się do zlewu i mechanicznie zaczęła zmywać brudne naczynia. Nie chciała widzieć cierpienia na jego twarzy.

– To przez ten fotel na biegunach – powiedział, po czym zamilkł na chwilę, dotykając czegoś stojącego na lodówce. Wiedziała, że to odruch zastępczy, byle zająć ręce czymś innym, taki sam jak u niej. – Wstawałem po nocach do Shanny, mojej małej dziewczynki, musiałem ją kołysać. Miała kolkę i ząbkowała. Spędzałem z nią wiele czasu, żeby uspokoić i pomóc zasnąć.

Westchnął tak, że Lissa poczuła skurcz serca. Wiedziała, czym jest taka noc z niemowlęciem.

– To Shanna zniszczyła nasze małżeństwo – powiedział i znów zaczął chodzić. – Caroline, moja żona, wcale jej nie chciała.



– Mimo że było to jej własne dziecko? – Lissa nie mogła powstrzymać się, by zadać to pytanie.

Joe skinął głową.

– Pierwszą ciążę, z Jayem, znosiła bardzo źle. Druga była jeszcze gorsza. Musiała ponad trzy miesiące przeleżeć w łóżku, a to okazało się ponad jej siły. – Uśmiechnął się gorzko i krótko. – Kiedy ją poznałem, była bardzo towarzyska, często się śmiała.

Żyła w stanie euforii i zabawy. Ja jej tego dać nie mogłem, pracowałem z dala od domu, a potem wracałem zbyt zmęczony, żeby gdzieś razem bywać...

– Chyba nie spodziewała się beztroskiego życia, mając dzieci – wybuchnęła Lissa. – Żadna normalna kobieta tego nie oczekuje. Dzieci zmieniają wszystko nieodwołalnie. Każdy o tym wie.

Joe nie odpowiedział. Lissa powoli wytarła dłonie w ścierkę do naczyń i odwróciła się, by na niego popatrzeć. Wpatrywał się w ścianę z twarzą tak ściągniętą bólem, że miała wrażenie, iż się za chwilę załamie.

– Gdy mnie nie było w domu, zabierała dzieci na te swoje balangi... – powiedział. – Ładowała je do wozu i tam zostawiała, a sama szła w kurs.

– Mój Boże – szepnęła z przerażeniem Lissa. – Pewnej nocy wróciłem wcześniej z pracy. Nie było jej w domu. Szukałem po całym mieście. – Pocierał kciukami czoło, masował je, jakby pragnął zetrzeć z niego plamę tych wspomnień. – Znalazłem w końcu samochód zaparkowany przed pewnym klubem na przedmieściu. Dzieci były zamknięte wewnątrz. – Wyraz jego twarzy stwardniał, Lissa wstrzymała oddech. – Tamtej nocy było tylko pięć stopni. Jay był przeziębiony, dostał potem bronchitu. – Nabrał powietrza w płuca i spojrzał na Lissę ostro. – Wszedłem do baru i wywlokłem Caroline za włosy – powiedział niskim, opanowanym głosem, w którym przebijał tłumiony gniew. – Tamtej nocy mógłbym ją zabić. Rozwiedliśmy się niemal natychmiast potem.

Lissa czuła, że to jeszcze nie koniec opowieści. Widząc, jak jest spięty, wstrzymała oddech. Zaciśnięła usta w wąską linię. Machinalnie ujął w palce pozostawiony przez nią ołówek, którym robiła spis zakupów i obracał go tak, jakby szukał ukrytego klucza do wielkiej tajemnicy.

Gdy znów otworzył usta, przemówił głosem znużonego starca.

– Dwa tygodnie po rozwodzie znów wybrała się do klubu i pozostawiła Shannę w wozie. Sąd oddał Caroline dziecko pod opiekę, do chwili wydania ostatecznego wyroku. Mała była ruchliwa, wszystko ją interesowało. Policja ustaliła potem, że dziewczynka przerzuciła bieg na luz, samochód stoczył się w dół ulicy, przejechał na czerwonych światłach i zderzył z innym wozem. Shanna uderzyła głową w tablicę rozdzielczą. – Znowu westchnął głęboko, Lissę przebiegł dreszcz współczucia. Poszukał jej wzroku swymi bezdennymi, ciemnymi oczyma. Coś w nich zgasło, pozostawiając czarną pustkę. – Zmarła dwie godziny później w szpitalu. Jay był wtedy jeszcze mały, ale wiem, że jemu też brak siostry. Widzisz, jak się zżył z Suzanne.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał głośny trzask. Oboje spojrzeli na jego dłoń. Ścisnął w niej pęknięty ołówek. Rzucił kawałki na blat; ręce mu drżały.

Lissa poczuła, że cała dygocze. Wysłuchiwała opowieści nie przerywając, ponieważ wiedziała, że Joe musi ją z siebie wyrzucić, że nawet jeśli to nie odegna złych wspomnień – zmniejszy ból, przynajmniej odrobinę. Prawdopodobnie długo jeszcze nie pozbyłby się tego ciężaru, być może nawet nigdy. Joe nie był człowiekiem, który wypłakuje się w cudze klapy. Sama też nie należała do tego typu ludzi. Być może zyskiwała punkty, ponieważ rozumiała, co on przeżywa. Czymże mogła go pocieszyć?

Podeszła do niego powoli i cicho. Pozwolił jej dojrzeć w swoich oczach gniew i rozpacz, i zawód. Przyjęła wyzwanie, chwyciła w dłonie jego twarz. Joe zrazu się nastroszył, ale chwilę potem, jakby opuściły go resztki koszmaru, objął Lissę ramieniem i przytulił.

Jedynie, co mogła uczynić, to szeptać słowa pocieszenia. Kołysał ją w ramionach, pochylił ciemną głowę, owiewał jej kark ciężkim i ciepłym oddechem.

– Od dawna nie mówiłem o tym nikomu.

– Wiem – szepnęła – wiem.

– To jeszcze boli – dodał po chwili milczenia. Odsunął ją delikatnie od siebie i spojrzał w jej twarz. – Liss, nikomu nie ufam i nikogo nie proszę o zaufanie.

Zacisnęła palce na jego ramionach, żeby go czuć jak najpełniej.

– Miałeś niewiele powodów, by oczekiwać, że twoja ufność zostanie doceniona – powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało sensownie. Pragnęła jedynie raz jeszcze zanurzyć się w jego ramionach. – To, co ci się przydarzyło, niejednego mogłoby zabić.

– Nie rozumiesz – powiedział, trzymając ją mocno i uporczywie wpatrując się w jej twarz. – Zmieniłem się po tym, co się stało. Nigdy już nie będę takim łatwym łupem. Gram wedle własnych reguł i nie dam się zrobić w konia.

Miał słuszność: nie rozumiała.

– Co masz na myśli?

– Powinnaś trzymać się ode mnie tak daleko, jak to tylko możliwe. Ty sobie chyba myślisz, że ja jestem biednym, skrzywdzonym przez los gburowatym facetem o złotym sercu. Niestety, nie jestem. Nie dam się nabrać na nic i nikomu. Jestem w stosunkach z ludźmi sto razy gorszy od najgorszego faceta, jakiego spotkałaś w życiu. Spłaciłem moje długi i zawsze wyrównuję rachunki.

– No i co z tego? – spytała, odnalazszy w sobie dość siły, by pokazać mu własną odporność.

W nagrodę otrzymała krzywy uśmiech.

– Zapamiętaj to dobrze. Ostrzegałem cię.

Już ją zaczął uwalniać z objęć, ale nagle zmienił zamiar. Pochyliła się ku niemu i właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi. Joe zaklął.

– To chyba Jay.

Była to jednak Bonnie Ann. Ujrawszy Lissę z Joem, spieszyła się i jęła przeproszać.

– Ja tędy właśnie... – zaczęła, oblewając się rumieńcem.

– Miałem już wychodzić – powiedział Joe, patrząc na zegarek. Westchnął ciężko, przypomniawszy sobie, że to właściwie tylko bransoleta, a nie czasomierz, od kiedy po naprawie przez panią McGee późnił się kilka godzin.

Wyminął Lisę, po raz ostatni spojrzawszy na nią wymownie i skinął głową Bonnie Ann. Ani Joe, ani Lissa nie pamiętali o mleku, które chciał pożyczyć.

– Fiu-fiu! – mruknęła Bonnie Ann, gdy zamknęły się za nim drzwi. – Czy tu się coś paliło, czy tylko ja sobie tak wyobrażam?

– Właśnie poznałam zasady, którymi kieruje się w życiu Joe Douglas – odparła Lissa, starając się mówić lekko, choć jej to nie wychodziło. Zrozumiała, że Joe próbował ją uchronić, ostrzegając przed sobą. Ale nie miał racji. Pod twardą skorupą wypatrzyła wrażliwego człowieka, tym bardziej ją więc intrygował.

– Co tu robisz o tej porze? – spytała przyjaciółkę, zmieniając temat.

– Po prostu byłam w pobliżu i pomyślałam sobie: wpadnę i podrzucę ci notatki, przepisałam je na maszynie – powiedziała Bonnie Ann. – Wstałam dziś wcześniej, więc upiekłam na śniadanie rogaliki z cynamonem. Potem zafundowałam sobie krótki jogging. Nie mówiłam ci, że zaczynam nowy program ćwiczeń? Przebiegam co dzień pięć kilometrów. – Bonnie Ann spojrzała tęsknie na filiżankę. – Mogłabym dostać kawy? Chyba skonam, jeżeli natychmiast się nie napiję.

– Nie grozi ci to – pocieszyła ją Lissa. Nalała kawy do dwu filiżanek i przechyliła się przez stół.

Bonnie Ann pociągnęła solidny łyk aromatycznego napoju i zamknęła z satysfakcją oczy.

– Dobra i mocna – pochwaliła. Rozwarła powieki, by się przyjrzeć Lissie, po czym zaczęła biegać po kuchni jak fryga. – No więc, co się dzieje z Joem?

– Co masz na myśli? – spytała Lissa, udając niewiniątko.

– Mam na myśli, co się dzieje między wami? Lissa nagle zainteresowała się swoją filiżanką.

– Nie wiem.

– W porządku – powiedziała Bonnie Ann. – To w końcu nie moja sprawa. – Lissa była pewna, że Bonnie Ann jej nie wierzy. – Nie chcę cię urazić.

– Wiem – odparła Lissa. – Doceniam to. – Czuła, że przyjaciółka chce jej coś powiedzieć. Zmarszczyła czoło: – O co ci chodzi, Bonnie Ann?

Dziewczyna westchnęła.

– Rozmawiałam z moją kuzynką z Sherry. Pamiętasz?

Z tą, która zna wszystkie plotki. Lissa poczuła ucisk w gardle.

– No i?

– Czy wiesz, że Joe miał córkę? Lissa skinęła głową.

– Zginęła w wypadku. Mówił mi, jak do tego doszło. Bonnie Ann pozostała nieufna.

– Wszystko?

– Co masz na myśli? – Nagle poczuła, że w pokoju zrobiło się o dziesięć stopni zimniej.

– Potem, jak zginęła jego mała córeczka, Joe starał się o opiekę nad synem. Powiedział ci o tym?

Lissa potrząsnęła głową. Przypuszczała, że Jay został przy nim.

– Po tym, co się stało, to chyba zrozumiałe – odparła.

– Wynajął adwokata nazwiskiem Cassidy. To wielki fachman w takich sprawach. Jeden z

tych cwaniaczków, co się specjalizują w rozwodach i odbieraniu praw rodzicielskich. Ponoć jego klienci nigdy się na nim nie zawiedli. Sherry powiedziała, że ten Cassidy utaplał żonę Joego w błocie albo jej tym groził. Chyba nawet nie doszło do pełnego procesu, bo ta ekszona podpisała zgodę na oddanie Jaya pod opiekę ojca. – Bonnie Ann ryknęła kawy. – Grał twardo, Lisso. Sherry mówi, że nie miał żadnych skrupułów. Pomyślałam, że powinnaś to wiedzieć.

Lissa skinęła głową.

– Okay, dzięki, Bonnie Ann.

Bonnie Ann pociągnęła ostatni łyk i ruszyła ku drzwiom.

– Uważaj, moje złotko. Muszę skończyć moje biegi. Potem w nocy śpię jak suseł.

Lissa zamknęła drzwi. Potarła skronie, nie wiedząc, że naśladuje gest Joego. Czowała, że jest w nim już szaleńczo zakochana.

Wróciła do domu znękana i wyczerpana. Dzień miała podły. Straciła dobry nastrój. Trzymając na jednym ramieniu Suzanne, w drugiej ręce, dla równowagi, niosła torbę z zakupami i książkami. Włosy ociekały jej wilgocią. Na górze otworzyły się drzwi, na schody padło szare światło i Joe zawołał:

– Hej, nie potrzebujesz pomocy?

– Nie – odparła sucho. – Robię skrócony kurs zonglerki.

Sekunda – i już był przy niej. Odebrał pakunki, pozostawił tylko małą. Wziął klucz, otworzył drzwi. Stwierdziła, że dobrze wygląda. Dzinsy opinały mu uda i łydki, a czarna koszula bez rękawów uwydatniała masywny tors i ramiona. Gdy weszli do środka, czekała, że coś powie – cokolwiek – co by ją mogło podnieść na duchu. Nie miała pojęcia, co czuje po swojej porannej spowiedzi.

Odłożył torbę, wziął kwilące dziecko i zaczął chodzić po kuchni, żeby je uspokoić.

– Jak minął dzień? – spytała cicho, zabierając małą i sadzając w foteliku.

– Nieźle – powiedział łagodnie. – Lało jak z cebra, mogłem tylko przewracać papierki. No tak. Aha, coś jeszcze: jakiś cymbał wyrznął mnie stalowym prętem.

– Boli cię? – Poruszyła się niespokojnie na krześle. Ciągle ją zdumiewała odczuwana słabość. Jedno jego słowo, jedno spojrzenie i już było po niej. – Ja miałam dzień koszmarny. – Westchnęła. – Najpierw jakiś bydlak obryzgał mnie błotem. Wsiadając do wozu podarłam spodnie. Potem zepsuła się lodziarka u Duncana, potem mieliśmy klasówkę z historii, z rozdziału, którego nie przeczytałam i oberwałam cztery z minusem.

Zapadła krótka cisza.

– Cztery z minusem? – powtórzył, unosząc brwi. – Nie przeczytałaś rozdziału i dostałaś cztery z minusem? To nadzwyczajne.

– Nie jestem taka znów nadzwyczajna – próbowała się tłumaczyć.

– No, to jest powód, żeby cię zaprosił na drugą kolację.

Siedziała jak trusia. Nie wiedział, co mu odpowie. Wodziła palcem po plamie na stole. W jej złotych kolczykach błyskało słońce. Wyszło mu w gardle. Ostrzegął ją przed sobą tego ranka, ale sam nie umiał oprzeć się pożądaniu.

Spojrzała w okno.

– Ciągle pada.

- Wobec tego zrobię coś tutaj, u ciebie.
- Jesteś zmęczony – zaprotestowała.
- Dam sobie radę – zapewnił. – Jay mi pomoże. Zresztą, obiecałem ci drugą kolację.
- Zgoda – poddała się. – Miałam dziś zrobić gulasz, ale twoja propozycja brzmi nieźle. Tylko niech to będzie coś bardzo zwyczajnego.
- Oczywiście.

Dla Joego była to kolacja całkiem zwyczajna, ale Lissa uznała ją za pyszną ucztę. Użył jej mięsa na gulasz, a przyrządził znakomitą wołowinę po burgundzku. Razem z Jayem zrobił sałatkę z karczochów, pieczarek, czosnku, sałaty i oliwy. Przyniósł kruche bułeczki, a na deser podał jabłka i gruszki.

– Tego się nie da opisać – zapewniała Lissa, delektując się potrawami. Joe uśmiechał się, nalewając czerwone wino do jej kieliszka. Jay wołał sok jabłkowy.

– A ty? – spytała, gdy odstawił butelkę na bok.

– Ja wolę piwo – powiedział.

– Mam piwo – ucieszyła się Lissa, wyjmując z lodówki zimną butelkę. – Mówiłeś, że umiesz gotować, ale to... – chwaliła dalej – ... to jest wprost niewiarygodne. Ty mnie coraz bardziej zaskakujesz. Nie chcę za bardzo cię chwalić, ale czegoś tak dobrego nie jadłam od niepamiętnych czasów.

– Ależ proszę, chwal! – zachęcał. Zaśmiała się. Po kolacji Joe zabrał się z Jayem do mycia naczyń, Lissa szykowała dziecko do snu.

– Nigdy cię nie widziałem w fartuchu, tatusiu – powiedział Jay, szeroko uśmiechając się do ojca.

– To nie fartuch, synku – prostował Joe. – To ręcznik, Lissa mi go dała, żebym sobie nie poplamiał portek burgundzkim sosem.

Jay włączył radio stojące na bufecie. W końcu znalazł muzykę rockową i puścił ją na cały regulator.

– Zmień to – mruknął Joe, wycierając dłonie. – To nie jest muzyka właściwa przy myciu garów.

– Rozkaz, szefie – powiedział Jay, nadal się uśmiechając. Poszukał innej stacji. Udało mu się złapać bluesa, jedną z ulubionych melodii Lissy. Słuchała tego bluesa w deszczowe noce, gdy dziecko już spało.

– No – odetchnął Joe. – Wszystko umyte. Napijesz się jeszcze wina?

– Może odrobinę – zgodziła się chętnie. Popatrywał na nią niby przelotnie. Podobała mu się jej turkusowa bluzka. Do diabła, podobało mu się w niej wszystko. Światło prześwietlające włosy i zamieniające je w złote nici; sposób, w jaki błękitne oczy nabierały głębi, kiedy była szczęśliwa lub smutna, jej taneczny chód. I ta kojąca cierpliwość, kiedy słuchała go dziś rano. Delikatność, z jaką go obejmowała, mogła świadczyć, że także poznała, co to cierpienie.

Chciałby dla niej zrobić coś więcej niż kolację. Chciałby ją wziąć do łóżka i kochać tak, żeby błękitne oczy rozszerzyła porażająca rozkosz. Chciałby ujrzeć na jej twarzy uśmiech

szczęścia po takim miłosnym seansie, jakiego nigdy jeszcze nie zaznała.

– Tatusiu – odezwał się Jay, wytrącając go z marzeń.

– Nie mówiłem ci, że mój kolega Stuart urządza urodzinowe party w przyszłym miesiącu?

– Nie żartuj – powiedział Joe. – Czy to ten Stuart, który uczy się stepować?

– Ten – przyznał Jay ze źle ukrywaną niechęcią.

– Mówi, że jego mama będzie puszczać płyty, a my mamy tańczyć z dziewczynami, to okropne!

– Pójdiesz?

– Chyba tak – odparł Jay po namyśle. – Jego tata ma małe pole golfowe, więc może warto tam potańczyć i w ogóle.

Joe zaśmiał się.

– Jesteś wyrachowany, synu.

Jay wzruszył ramionami, ale po chwili się roześmiał.

– Tato?

– Słucham?

– Umiesz tańczyć?

– Tak. Czemu pytasz? Potrzebujesz lekcji?

– Chyba tak. Jest tam taka dziewczyna, Angie. – Jay rzucił Lissie zafrasowane spojrzenie, przełknął ślinę i ciągnął: – Myślałem... no wiesz... że gdybym umiał tańczyć...

– To byś lepiej wypadł w oczach Angie – skończył za niego Joe. – O to chodzi?

– O to – przyznał Jay.

– Coś tu chyba poradzimy. Poproś Lissę, żeby się z tobą zakreśliła... Od razu nabierzesz rutyny, jak każdy mężczyzna.

Jay spojrzał na Lissę z nadzieją.

– Zatańczysz? – spytał. – Jeśli obiecuję, że nie będę deptał po palcach i tak dalej?

– Czuję się zaszczycona – powiedziała z uśmiechem. Była zmęczona, ale lubiła Jaya. Wstała, wyciągnęła do chłopca ramiona. Musiała się do niego nieco nachylić, żeby zmniejszyć różnicę wzrostu. Stał niezdarne i czekał. Lissa ułożyła mu odpowiednio ręce i uśmiechnęła się z uznaniem. – Bardzo dobrze. Teraz lewą nogą zrób jeden krok naprzód. – Śpiewał miękko Harry Connick. Prowadziła Jaya przez pewien czas, a gdy złapał rytm, pozwoliła prowadzić jemu.

– Tato, patrz! – krzyknął dumnie. – Ja już tańczę!

– No widzisz – przyznał uprzejmie Joe.

– Teraz ty z nią zatańcz – zaproponował Jay, popychając Lissę w stronę stołu.

– Lissa musi wypocząć – stwierdził Joe bez entuzjazmu. – Miała trudny dzień.

– Kiedy czuję się całkiem odświeżona – zaprotestowała.

– No to nie stawiam już oporu. – Joe potrząsnął głową. – Zatańczysz ze staruszką?

– Nie widzę tu żadnego staruszka... Dasz sobie radę.

Uśmiechnął się i wziął ją w ramiona. Śpiewała teraz Dinah Washington, powoli i bardzo tęsknie.

– Lubię Dinah Washington – powiedziała, byle coś powiedzieć, bo przywierał do niej całym ciałem. Wyczuła, że jest mocno podniecony, a on wcale tego nie ukrywał. Zadrzała.

– Co jeszcze lubisz? – spytał miękko. Ciebie. Obawiam się, że lubię cię aż za bardzo.

– Deszczowe noce... – odparła głosem, który nawet sama uznała za zdławiony – uśmiech, który widzę rankiem na buzi mojego dziecka.

– Tańczysz za wolno, tatusiu – strofował ojca Jay, spoglądając na nich pochmurnie. – Ona przy tobie uśnie.

– Nie znoszę krytyki – mruknął Joe.

– Daj spokój, tato, pozwól mi zatańczyć z Lissą jeszcze raz. – Jay pociągnął ojca za koszulę. Joe skrzywił się z bólu.

– Uważaj na plecy twego starego, Jay.

– Och, zapomniałem. Żebyś widziała tę jego ranę! – powiedział. Joe nadal trzymał Lissę w ramionach, ale przestali tańczyć. – Ma ćwierć metra długości i ze dwadzieścia kolorów – oznajmił Jay z dumą.

– Nie jest tak źle – pocieszył Joe, widząc, że Lissa patrzy na niego z lękiem. – Dwaj faceci naginali stalowy pręt... Jestem trochę sztywny.

– Ale to krwawiło, i w ogóle – dopowiadał Jay.

– Synku, kobiety nie lubią zbyt gadatliwych partnerów w czasie tańca – tłumaczył cierpliwie.

– Co?

– Lissa nie pragnie pełnego opisu stanu moich pleców, prawda?

– Nie – przyznała. – Chcę je obejrzeć, bo może to coś poważniejszego. – Pociągnęła go do krzesła. – Muszę skorzystać z okazji, żeby obejrzeć szramę w dwudziestu kolorach.

Uśmiechnął się i zaczął zdejmować koszulę.

– Niezłe, co? – komentował Jay, stając obok.

– Bardzo ładne – powiedziała sucho. – To musiało piekielnie boleć.

Szrama odpowiadała opisowi Jaya, była obrzmiała, miała kilka odcieni błękitu i czerwieni.

– Tato, mogę obejrzeć film w telewizji? – spytał Jay, straciwszy zainteresowanie raną.

Joe spojrzał na rękę, a potem znacząco na Lissę.

– Która godzina?

– Nie pytaj – odparła. – Pani McGee naprawiała wszystkie moje zegarki.

– Domyślam się. Zamknij drzwi i nie otwieraj nikomu oprócz mnie.

Gdy Jay wyszedł, Joe westchnął.

– Nie masz przypadkiem jeszcze jednego piwa? Chyba muszę sobie chlapnąć.

– Mam – powiedziała. – Ale dlaczego sądzisz, że musisz?

– Coś mi mówi, że chcesz zająć się moimi plecami. Przyniosła piwo i bez słowa podała mu.

– Odwróć się do mnie tyłem – rozkazała.

– Wiedziałem, że zechcesz się nimi zająć – gderał, zrywając kapsel z butelki. Pociągnął długi łyk. Skrzywił się, gdy dotknęła rany mokrą gazą, po czym ją delikatnie oczyściła. Starła

grudki skrzeplej krwi, pojawiły się nowe krople. Osuszyła je i spojrzała na trzymaną w dłoni butelkę. – To może trochę zboleć – skłamała i szybko przytknęła nasączony tampon do rany.

– O Booże! – ryknął, prostując gwałtownie kark.

– Co to jest, u diabła?

– Środek odkażający.

– Niech to diabli! O Boże, myślałem, żeś mnie dźgnęła nożem!

– Przykro mi. – Zaczęła wachlować mu plecy wziętą ze stołu serwetką; z wolna się odprężył. Odstawił butelkę na stół i naciągnął koszulę. – Teraz możemy wyjść na balkon. Przystaje padać. Podał jej lampkę wina.

– Deszczowy wieczór i Dinah Washington. To powinno cię uszczęśliwić. – Piosenkarka z uczuciem śpiewała o utraconym mężczyźnie.

Pod ścianą stały dwa leżaki, Lissa rozłożyła je i ustawiła pod okapem. Deszcz rzeczywiście słabł, wiał lekki wiatr. Joe ciężko usiadł obok. Spostrzegła, że się przy tym skrzywił. Obracała w palcach kieliszek z winem, ale nie piła. Z radia nadal płynęły dźwięki bluesa, Lissa przymknęła oczy.

– Twój syn to świetny chłopak – powiedziała. – Ma mnóstwo zdrowego rozsądku. I bardzo się o ciebie troszczy, prawda?

– Owszem. Zawsze. Ma dziesięć lat, ale idzie mu na trzydziesty piąty. – Umilkł na chwilę, zapewne myśląc o Jayu. – Dużo przeżył. Teraz jest między młotem a kowadłem. To dla dziesięciolatka niezbyt miła sytuacja. Ale daje sobie radę.

– Ty i twoja była żona? – rzuciła, odetchnąwszy głęboko. – To jest to kowadło i ten młot?

– Tak – przyznał cicho. – Caroline nie wie, czego chce. Pragnie czegoś, czego ja jej dać nie mogę. Więc zawsze i za wszystko mnie obwinia. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem – szepnęła, świadoma, jak ciężko musiał to przeżywać Jay i jak bardzo to gnębi Joego.

Pociągnął ostatni łyk piwa i odstawił butelkę.

– Pójdę się trochę przejść – powiedział.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaskoczył ją propozycją wspólnego spaceru. Zostawili dzieci pod opieką pani McGee i pojechali.

– Wszystko gotowe, możemy kłaść ostatnie przęsła – objaśniał Joe. – Jedne położymy na miejscu, a inne trzeba montować na ziemi, potem się je przesunie wciągarkami.

Nie miała pojęcia o kładzeniu przęsła i wciągarkach, wiedziała tylko, że on się na tym zna. Traktował swoją pracę poważnie, w przeciwieństwie do Alexa, który pracą gardził, chyba że trwała krótko, była przyjemna i dobrze płatna.

– Tu mam biuro – wskazał jasnozieloną przyczepę ustawioną na betonowych słupkach.

– Mogę tam zajrzeć? Zawahał się chwilę.

– Zgoda – powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. Otworzył drzwi, potem schylił się, by pomóc Lissie wspiać się po betonowych słupkach udających stopnie.

Włączył lampę na biurku i stanął z boku. Lissa rozglądała się dokoła. Najważniejsze było tu biurko. Zarzucone stertami papierów, szkiców, ołówków i nie umytych kubków po kawie.

– Funkcjonalnie, nieciekawie – powiedział, czytając w jej myślach.

Po prawej stronie biurka stała nieduża, wbudowana na stałe lodówka i kuchenka mikrofalowa. Zapewne pod zasłoniętym oknem znajdowała się umywalka. Przy tylnej ścianie przyczepy stała brunatna kanapa.

Podobnie jak wszystko tutaj, służyła za składowisko różności, starych gazet i pustych toreb po frytkach.

– Możemy już iść – powiedział, gdy się obejrzała na niego.

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy. Wiedziała, że musi go mieć tej nocy.

– Możemy zostać, Joe. Chyba że to ty chcesz już iść.

Zaniemówił na chwilę, a gdy się odezwał, głos miał zmieniony:

– Nie chcę.

Zamarła w bezruchu. Ruszył, stanął przed nią w rozkroku, po chwili wsunął dłonie pod jej sweter, objął w biodrach i przyciągnął mocno do siebie.

– Boże, jak ty ślicznie pachniesz – wymruczał. Ta kobieta działała na niego jak żadna inna. Zakrył wargami jej usta, były tak słodkie... Nie umiał nad sobą panować, ale nie chciał się też zbyt śpieszyć.

To jej się śpieszyło, świadomość tego nie była zresztą nieprzyjemna. Całowała z taką samą pasją jak on. Zdjął z niej sweter i rzucił na stertę papierów. Rozchylił turkusową bluzkę i objął ją w talii. Westchnęła rozkosznie. Piersi miała pełne i tak nieprawdopodobnie miękkie, że wsunawszy dłonie pod stanik, jęknął z zachwytu.

Niecierpliwość znów brała górę. Joe odpiął koronkowy staniczek i zaczął pieścić kciukami brodawki jej piersi tak, że co chwila wstrzymywała oddech.

– Jesteś taka delikatna, taka piękna – mruzczał, zniżając usta do jej warg. Pochylił głowę niżej i dotknął językiem sutki. Zadygotała i przytuliła się do niego całym ciałem.

Nie mógł uwierzyć, że aż tak tego pragnie, że pragnie właśnie jego, cofnął się więc nieco,

by się jej przyjrzeć. Zamknęła oczy, lekko rozchyliła usta. Zadrżał na myśl, że ona w tej chwili może widzieć oczyma wyobraźni Alexa. Wolał w to nie wierzyć. Pragnął Lissy, ale nie miał ochoty grać roli następcy zmarłego brata.

– Spójrz na mnie – szepnął, wodząc palcem po jej policzku. – Powiedz mi, co widzisz.

Otworzyła powoli oczy, wpatrując się w niego jakby poprzez mgłę. Obejmowała go ramionami tak mocno, jak silne było jej pożądanie.

– Widzę mężczyznę, którego darzę szacunkiem, mężczyznę, który bardzo troszczy się o swego syna i o przyjaciół – powiedziała miękko. – Widzę mężczyznę, który ciężko pracuje i odpowiada za to, co robi. – Głos jej zadrżał leciutko. – Pragnę cię, Joe.

Podniósł ją tak nagle, że wstrzymała oddech. Posadził ją na kanapie, zrzucając papiery na podłogę.

– Pozwól się rozebrać – szepnął niecierpliwie, siadając obok i ściągając jej bluzkę wraz ze stanikiem. Zrzuciła ze stóp buty, a Joe rozpiął jej dzinsy. Gdy je ściągał, uniosła biodra, by mu to ułatwić. Figi razem ze spodniami wylądowały na podłodze obok reszty ubrania.

Joe przesunął dłonią po jej udach. Zadrżała z niecierpliwości. Wstał powoli, zdjął skórzaną kurtkę, potem koszulę. Zdejmując dzinsy i półbuty nie odrywał od niej wzroku.

– Chcę na ciebie patrzeć – szepnęła, zapalając lampę stojącą obok na stole.

– Nie wyglądam najlepiej – powiedział. – Mam zrosty i więcej blizn, niż jakikolwiek znany ci facet.

Chciała, by wiedział, że dla niej jest piękny. Patrzyła na niego, po czym rozebrała go do końca, rzucając na podłogę najpierw dzinsy, potem slipy. Rzeczywiście, miał zgrubienia i parę cienkich blizn po starych ranach. Ale to był Joe.

– Czy wiesz – powiedziała – że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu?

Oczywiście nie wierzył, ale poczuł się dowartościowany.

– Naprawdę – powtórzyła, gdy uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko.

– Myślisz, że mnie bierzesz pod włos, ale ja takie teksty nawet lubię. – Musiała to skwitować śmiechem. Podniósł ją i posadził sobie na kolanach. Wyczuła, że jest podniecony. Opuściła ramię i zaczęła go pieścić.

Westchnął głośno.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz o tym?

– mruknął.

– Mam nadzieję – przyznała szczerze. Całowała go gwałtownie, aż przewrócił się na wznak i położył ją na sobie.

– Nie śpieszmy się – prosił, choć ręce i usta przeczyły jego słowom. Dotykał jej ciała, sprawiając, że było jej zimno i gorąco zarazem. Wtuliła piersi w gęstwinę jego włosów, a on ujął je w dłonie i zdawał się ważyć. Wyprostowała się, ścisnęła go nogami, Joe chwycił w usta pierś, drażnił językiem brodawkę tak długo, aż Lissa krzyknęła z rozkoszy. Znowu opuściła ręce i głaskała go.

– Tak, moja śliczna, o tak! – jęczał.

Nie chciał jednak pozwalać na to zbyt długo. Po chwili położył ją na wznak i uniósł się,

prawą nogą wsparty o podłogę, ponieważ kanapa była zbyt wąska. Pieścił wnętrze jej ud. Rozkoszowała się dotykiem jego rąk, palce miał tak silne i szorstkie, a mimo to jakże czułe. Chciał dać jej całą rozkosz świata a ona pragnęła wreszcie go zdobyć.

– Joe – ponagliła – chodź do mnie!

– Lisso, droga moja, na wszystko przyjdzie czas – powiedział chrapliwym głosem.

– Nie, nie chcę już dłużej czekać!

Zapomniał więc o wszelkich oporach i widziała, że choć usiłuje działać rozważnie, niezbyt mu się to udawało. Znieruchomiał na chwilę, zjrzała mu w oczy. Ujrzała w nich taką powagę, że miała ochotę czmychnąć.

– To wszystko stało się wbrew mojej woli – mruknął.

– Nigdy nie chciałem nikogo tak pożądać, a już najmniej ciebie. Ale nie umiałem ci się oprzeć. Nie chciałem cię nigdy więcej urazić. Nie pochylałem stylu życia mego brata – wyznał, jakby to było coś, co musiał powiedzieć, zanim zacznie się z nią kochać. – Ale też nigdy nie chciałem wierzyć w plotki na jego temat... Byłem wściekły, kiedy mi powiedziałaś, że cię okłamywał. Nie zapominaj, kim był dla mnie Alex. – Ręka mu lekko zadrżała, gdy delikatnie przesuwał dłoń po jej policzku.

– Nie mogę myśleć, że był zły – powiedział ze szczerym przekonaniem. – Nigdy w to nie uwierzę.

– Wiem – szepnęła, dotykając palcami jego warg. – Wiem.

Dał jej potem wszystko, co mógł. Dał wszystko, co mogło dać jego ciało i serce; Lissa obejmowała go, starając się pamiętać o ranie, jaką miał na plecach. Przyłgnęła do jego ramion i trwała tak do chwili, gdy poczuła, że osiągnął szczyt. Teraz krzyczał z rozkoszy. Sekundę później wygięła się pod nim w łuk, wyrzucając z siebie całe kaskady miłosnych zaklęć.

– To najlepsza robota, jaką wykonałem w tej przyczepie – powiedział, gdy leżeli znużeni miłosnym wysiłkiem, wyraźnie z siebie rad, co Lissa skwitowała niewidocznym w półmroku uśmiechem.

– Musimy już wracać do dzieci – szepnęła, uwalniając się z jego ramion, po czym sięgnęła po ubranie.

Do domu wracali w milczeniu. Lissa skrzyżowała ramiona, a Joe objął ją i przyciągnął do siebie. Nie tuliła się do niego. Gdy ją zatrzymał i pocałował w czoło, stała spokojnie. Nie zrobiła nawet gestu, żeby go dotknąć. Popatrzył na nią badawczo, po czym bez słowa odszedł.

Tej nocy Lissa miała niespokojne sny. Wstała wczesnym rankiem, usiadła przy kuchennym stole i zaczęła się przygotowywać do egzaminów końcowych z historii i literatury angielskiej. Rymy Byrona okazały się diabelnie zawile.

Wiedziała, że jest w Joem zakochana. Po ostatniej nocy nie było sensu udawać, że to nieprawda. Wszystko poszło tak szybko, a mimo to była pewna swoich uczuć. Siedziała przy stole w krótkiej nocnej koszuli i odtwarzała w pamięci pocałunki Joego i wszystkie wydarzenia wczorajszego wieczoru. Nie należała do kobiet łatwych. Idąc z nim do łóżka doskonale wiedziała, na co się porywa.

– Lisso? – Poderwał ją dźwięk jego głosu. Zobaczyła, że stoi niepewnie w progu. – Pukałem, ale chyba tego nie słyszałaś.

– Uczę się – odparła z wątlým uśmiechem, wskazując podręczniki leżące na stole. – Końcówka.

– Nie będę ci przeszkadzać. Chciałem tylko powiedzieć, że niczego nie robię na pokaz. A nawiasem mówiąc, twoje mieszkanie jest stanowczo za małe, nie pomieszkas już w nim długo.

Trwało czas jakiś, zanim dotarły do niej te słowa. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Coś ty powiedział?

– To, że się przenieś do nowego mieszkania, moja miła. Znalazłem mały domek pięć przecnic dalej, jest idealny. Ma trzy sypialnie, Suzanne będzie miała własny pokój. Jest tam też ładny, spory ogródek, jakby stworzony do zabaw. Możesz to wszystko obejrzeć, kiedy zechcesz i wybrać tapety.

Strząsnęła z siebie jego dłonie i cofnęła się o kilka kroków.

– Jak śmiesz!

– Spodziewałem się, że będziesz temu przeciwna.

– Przeciwna? – powtórzyła gniewnie. – Raczej się wścieknę. Jak mogłeś sobie założyć, że spakuję się i pojedę tam, dokąd mnie wyślesz? Nie mam zamiaru opuszczać tego mieszkania. Z prostego powodu: nie stać mnie na większe.

– Nie będziesz za nie płacić – zapewniał. – Poza tym pani McGee otwiera na parterze mały sklepik, sama przenosi się na górę... Jedno mieszkanie zajmie ona, drugie odda siostrze...

– Powiedziała ci to?

– W pewnym sensie ja jej to zasugerowałem. Zapewniłem, że się nie sprzeciwisz.

– Ale ja się sprzeciwiam!

– Szkoda. A jednak zrobimy tak, jak mówię.

– Beze mnie – syknęła przez zęby. – Nie kupisz mnie.

Wieczorem, gdy po powrocie z uczelni odbierała Suzanne od pani McGee, gospodyni spytała:

– Słyszałaś o moim sklepie?

– Tak, Joe mi o tym mówił. Gratulacje. Pani McGee promieniała.

– Dziękuję, kochanie. Ale bez Joego nie zdobyłabym się na to. On tu wszystko przebuduje i odnowi. Ja tylko obmyślę jakieś małe dekoracyjki.

– To obiecujące – bąknęła Lissa uprzejmie.

– Przykro mi, że tracę dobrą lokatorkę, ale Joe twierdzi, że potrzebujesz dla dziecka większej przestrzeni i ma rację.

Chciała powiedzieć, że Joe tylko sądzi, iż ma rację, ale pani McGee naprawdę cieszyła się na myśl o własnym sklepie. Lissa poszła z dzieckiem na górę.

Tej nocy Lissa prawie nie spała. Suzanne marudziła, wyrzynały się jej ząbki, bolały dziąsła. Rano wstała skonana. Oliwy do ognia dołała Bonnie Ann, która znów miała jakieś kłopoty.

– Musisz mi pomóc! – chlipała w słuchawkę. – Tylko ciebie mogę o to prosić, słowo

dają!

– Pomóc w czym?

– Muszę przedłużyć prawo jazdy.

Tak oto osoba, która zawsze miała mnóstwo spraw na głowie, zapomniała o najważniejszej; że upływa termin ważności jej prawa jazdy. Potrzebowała więc koniecznie Lissy, bo tylko ona mogła ją zawieźć na komisję przed południem.

Joe wracał do domu z zakupami, strapiony wyrazem twarzy Jaya, którego coś zapewne gryzło.

– Tatusiu – spytał nagle – czy ty się kłócisz z Lissą? Joe potrząsnął głową. Nie wiedział, jak mu wyjaśnić, co się czasem zdarza między kobietą i mężczyzną.

– Są pewne sprawy do załatwienia – rzekł w końcu.

– Pojawiły się problemy.

Jay myślał chwilę.

– Jeśli się ożenisz z Lissą, tatusiu... to czy zaczniesz się z nią kłócić, jak kiedyś z mamą?

Joe poczuł się tak, jakby mu wbito nóż w serce.

– Synku, Lissa i ja... próbujemy z Lissą dojść do porozumienia bez kłótni. To, co się działo między mną i twoją mamą, zależało nie tylko ode mnie. Twoja mama jest nieszczęśliwa, dlatego często krzyczy. Niektórzy ludzie, kiedy są nieszczęśliwi, krzyczą. Inni – płaczą.

– No tak – zgodził się chłopiec. – Ja też się napłakałem.

Joe objął go ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Słuchaj, synku, jeśli ci się kiedyś znów zbierze na płacz, albo kiedy z czymś sobie nie dasz rady... przyjdź do mnie, dobrze?

– Dobrze – szepnął.

– Jest jeszcze coś – powiedział Joe, uznawszy, że Jay powinien o tym wiedzieć.

– Co?

– Dziecko Lissy... Suzanne...

Jay uśmiechnął się szeroko. Lubił tę małą.

– Ojcem Suzanne był Alex, stryj Alex. Suzanne jest więc twoją stryjeczną siostrą. – Czekał, jak chłopak to przyjmie.

Jay rozważał informację bardzo starannie.

– Czy to znaczy, że nie możesz poślubić Lissy? – spytał wreszcie. – Czy ona jest moją ciotką?

Joe zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Ale to znaczy, że te sprawy są trochę bardziej złożone. I właśnie część z nich musimy rozstrzygnąć oboje z Lissą. – Odetchnął głęboko.

– Wiesz, tatusiu – powiedział Jay z miną filozofa – ty jednak masz... jak to nazywasz?... ciekawe życie.

– To prawda – przyznał Joe, mierzwiąc synowi czuprynę.

Ledwie weszli do mieszkania, zadzwonił telefon.

– Joe? – spytała drżącym ze zdenerwowania głosem Bonnie Ann. – To ja, Bonnie Ann... z Duncans' Quik Shop. Och, Joe, jestem z Lissą, w szpitalu.

Poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

– Co się stało, Bonnie Ann?

– Ciężarówka... przejechała znak stopu... Nastąpiło zderzenie. Lissa ma złamaną rękę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

To Joe przywiózł Lissę ze szpitala, ten sam Joe, który zapewniał Bonnie Ann, że wypadek nastąpił nie z jej winy, powinna więc przestać czynić sobie wyrzuty. Nikt nie ma przecież zamiaru odbierać jej nowego prawa jazdy. To Joe sprawdził, czy Lissa zabrała wszystkie swoje rzeczy, potem ostrożnie pomógł wejść do kabiny ciężarówki. Przez cały ten czas pani McGee opiekowała się dziećmi.

Wprowadziwszy Lissę do mieszkania, Joe zmusił ją, żeby się położyła do łóżka. Zażyła środek przeciwbólowy i usnęła. Obudził ją głos Joego dochodzący z kuchni. Nie słyszała, żeby ktoś mu odpowiadał, po jego okrzykach następowały pełne napięcia przerwy, zrozumiała więc, że rozmowa toczy się przez telefon. Pokój zalewał półmrok, domyśliła się, że zapadł już wieczór.

– Cóż to znaczy, że jesteś zbyt zajęta, żeby się nim zająć? – mówił gniewnie.

Wyczuła, że ktoś doprowadza go do granic wytrzymałości. Caroline, podpowiedział wewnętrzny głos.

– Jaką tym razem znajdziesz wymówkę? Za dużo przyjęć po kolei, czy może masz nowego faceta, który sobie nie życzy, żeby się tam kręcił twój syn i psuł wasze słodkie sam na sam? – Ostatnie słowa wypowiedział z umyślnym sarkazmem.

Nastąpiła kolejna irytująca pauza, przerywana głośnymi sapnięciami. Lissa powoli wstała z łóżka, ostrożnie unosząc ramię i podeszła na palcach do drzwi. Dziecko leżało w kojcu, trzymając w rączkach gumowego, piszczącego kaczora i czasem tylko popatrywało na Joego, który – ciągnąc ze sobą telefoniczny kabel – przemierzał kuchnię niczym zwierzę klatkę. Oczy wbił w podłogę, nie dostrzegł Lissy, był najwyraźniej rozdygotany. Wolną dłonią gładził włosy.

– Słuchaj, skoro nie chcesz widzieć swego syna, to powiedz mu to sama. Nie oczekuj, że ja mu uświadomię, iż jest dla matki kulą u nogi. – Chrząknął opryskliwie. – Tak, rozumiem, musisz się rozerwać. Ale pamiętaj, jeśli liczysz na mój czek, wiedz, że nie doczekasz się go, jeżeli nie poświęcisz Jayowi nieco swojego cennego czasu.

Zapewne odwiesiła słuchawkę, ponieważ zaklął z cicha i odłożył swoją na widełki. Przez chwilę stał odwrócony do Lissy plecami, dłonie wsparłszy na biodrach, potem nagle się obejrzał, jakby wyczuł jej obecność.

– Przykro mi, że cię zbudziłem – burknął, ale wzrok mu złagodniał. – Jay doniósł mi, że dzwoniła jego matka, chciała ze mną rozmawiać. – Podeszedł do Lissy i odgarnął lok z jej policzka. Wzruszył ją ten gest, zapragnęła przytulić się do tego mężczyzny, wyczuła w nim jednak pewną rezerwę. – Boli? – spytał troskliwie. – Połóż się. – Zaprowadził ją do sypialni, ułożył wygodnie i nakrył afgańskim kocem. Sam przysiadł na krawędzi łóżka. – Jesteś zmęczona?

Potrząsnęła głową.

– Raczej zmartwiona.

– Co cię martwi?

– Ty – odpowiedziała, patrząc mu szczerze w oczy.

– Boisz się mnie?

– Nie, chyba nie – odparła z półuśmiechem.

– Na pozór nie – zauważył. – Biorąc pod uwagę twoje zachowanie sprzed kilku dni. – Ostrożnie pieścił jej dłoń opuszkami palców, w oczach miał znowu znajome pragnienie. – Nie chcę, żebyś się mnie bała, Lisso. Szlag mnie tylko trafia, że upierasz się przy swoim, kiedy ci proponuję coś lepszego. Ale... – rzucił jej gniewne, płomiennie, a zarazem jakby rozbawione spojrzenie – ale ty jesteś mocną kobietą, słoneczko, a ja wolałbym raczej co dzień łamać twoje opory, niż mieć tuzin innych bab, gotowych na wszystko, kiedy tylko kiwnę palcem.

– To miłe z twojej strony, czupurku – odparła na tyle zaczepnie, na ile pozwalał zażyty środek przeciwbólowy.

– Lisso – rzekł, znowu poważniejąc. – Mówiłem ci, że przyparty do muru, gotów jestem na wszystko. Wstrzymanie wypłat Caroline to jeszcze nic... – Przerwał na chwilę. – Obiecałem jej, zresztą... – Miał jedwabny dotyk i stalowe oczy. – Krótko mówiąc: poddała się i mam Jaya.

– Wiem – powiedziała cicho. – Wiem to od Bonnie Ann.

– Bonnie Ann? – Tego się nie spodziewał.

– Jej kuzynka jest twoją sąsiadką. Zna całą historię. – To małe miasto – skrzywił się. – Nic się nie ukryje. – Też tak sędzę. – Poczula ulgę, że sam jej to wyznał. W kuchni zakwiliło dziecko. Lissa poruszyła się, by wstać. Delikatnie ją powstrzymał.

– Ja się nią zajmę – powiedział. – Wezmę się też zaraz do gotowania obiadu. Chcesz coś zjeść?

– Jeśli ty ugotujesz, tak.

Uśmiechnął się i schylił, musnął wargami jej usta, po czym wstał z łóżka. Lissa leżała, nasłuchując, jak uspokaja małą i chodzi po kuchni, stuka garnkami i naczyniami. Nie chciała, żeby Bonnie Ann wezwała Joego do szpitala, ale przyjaciółkę ogarnęło tak wielkie poczucie winy, że nie sposób było temu zapobiec.

Lissa obawiała się, że Joe nie przyjedzie, że obraził się na nią po ostatniej sprzeczce. Tak postępowali w przeszłości inni. Ale nie on. Ciągle była zdumiona, że mu tak ufa, iż tak wielkie pokłada w nim nadzieje. Już знаła powody jego bezwzględności. Do licha, gdyby stawką w grze była Suzanne, postępowalaby tak samo! Rozumiała, dlaczego z zasady nie ufa kobietom. Jego ekszona wykończyłaby nawet świętego. W głębi duszy Lissa czuła, że Joe był właśnie tym mężczyzną, na którego czekała całe życie. W grubianinie i zarozumialcu mieszkał człowiek, który bez zbędnych pytań natychmiast przyjechał po nią do szpitala; mężczyzna, który przyrządzał wyśmienite wręcz dania; partner, który jej ciało doprowadzał swymi pieścizotami do ekstazy. Jeśli jest właśnie taki, jak sądzi, to znalazła w nim prawdziwego przyjaciela i przystań na resztę życia. Jeśli się zaś myli...

Nie chciała nawet myśleć, jakim to byłoby dla niej piekłem.

Zapewne usnęła znowu. Otworzywszy potem oczy, wyczuła dochodzący z kuchni smakowity zapach i usłyszała cichą rozmowę ojca z synem.

– Przykro mi, naprawdę, Jay mówił Joe – ale twoja mama ma jakieś pilne zajęcia i obawia



się, że gdybyś tam teraz pojechał, nie miałaby dla ciebie dość czasu. Może w następnym miesiącu.

Zapadła cisza, potem odezwał się, zrezygnowany widać, Jay.

– Nie chciała, żebym przyjechał, prawda, tato?

– Jay... jestem pewny, że tak nie jest. Mama cię kocha. Ale... właśnie... przecież wiesz, jak się czasem do czegoś weźmie, to już idzie na całość. – Lissa widziała oczyma wyobraźni, że Joe mówiąc te słowa trzyma dłonie na ramionach syna, żeby go uspokoić. Miała w pamięci swoje poprzednie przebudzenie i głos Joego, który z trudem nad sobą panował, zarzucając Caroline brak zainteresowania dzieckiem. Wbrew zapewnieniom o swojej bezwzględności, nie oczerniał byłej żony przed synem.

– No tak, ale ty zawsze masz dla mnie czas – powiedział Jay, z wyczuwalnym w głosie żalem do matki.

Usłyszała głębokie westchnienie Joego.

– Wierz mi, synku, ja też często nie robię tak, jak powinienem. Jakoś sobie wspólnie będziemy ze wszystkim radzić, zgoda?

– Zgoda – odparł Jay bez przekonania. – Tato, a może byśmy zabrali Lissę do nas, jak wrócę z tych urodzin. Założę się, że polubi nasz dom.

– Zobaczymy – powiedział Joe. – Kolacja jest prawie gotowa. No, nakryj stół, a ja ją obudzę.

Lissa udała, że śpi i gdy przysiadł na łóżku, przeciągnęła się leniwie.

– Mmmm, jaki rozkoszny zapach – mruknęła.

– Szef kuchni żyje tylko po to, by usłyszeć twoje pochwały – oznajmił.

– Jasne.

Joe uśmiechnął się, po czym delikatnie zwichrzył jej włosy.

– No, wstawaj, złośnico – powiedział. – Konam z głodu.

Ujrzała w jego spojrzeniu jeszcze inny głód i serce natychmiast zaczęło bić w przyspieszonym rytmie. Pocałował ją w czoło i poprowadził do kuchni.

Danie było znowu przepyszne, zapewniał, że robi się je w bardzo prosty sposób, a należało do ulubionych potraw jego matki. Legumina z szynki z owocami i porami, zwana *clafoutis*, wyjaśnił, podawana zazwyczaj na deser, ale łatwa do przygotowania również jako danie główne. Do tego sałata z włoskimi orzechami i chrupiące bułeczki. Ponieważ Lissa brała leki, zamiast wina podał herbatę.

Siedząca w foteliku Suzanne wyciągała do Joego rączki. Wziął ją na kolana i zabrał się do jedzenia, jednocześnie podając małej do buzi kaszkę i przetartą morelę z miseczki ustawionej przy swoim talerzu. Gaworzenie uszczęśliwionego dziecka uświadomiło Lissie, że Joe, jakby mimochodem, wszedł w ich życie na dobre.

– Psujesz mnie zupełnie – powiedziała, zjadłszy wszystko do ostatniej okruszyny. – Nie mam wyboru. Albo cię zatrudnię, co mnie narazi na poważne koszty, albo porwę i każę gotować takie pyszności co dzień. A ponieważ nie mam gotówki, o której warto by mówić... – Wzruszyła ramionami, udając rezygnację.

– Ależ z ciebie kokietka – odparł, posyłając jej znaczący uśmiech. – Ty naprawdę umiesz

trafić do męskiego sera.

– To talent – odbiła piłeczkę, pochylając ku niemu zmarszczone czoło tak, że się roześmiał.

– O czym wy, ludzie, gadacie? – spytał nagle zaciekawiony Jay. Popatrywał przy tym to na ojca, to na Lissę.

– Nie czas, żebyś poszedł spać? – spytał Joe.

– Dopiero dziewiąta, tatusiu – zaprotestował Jay. – Cóż to, wystarczyło, żebym raz o coś spytał i marsz do łóżka?

Joe westchnął, a syn mu zawtórował.

– Czy mogę sobie w łóżku poczytać? – targował się jeszcze.

– Możesz. Zajrzę do ciebie później.

Kiedy Jay wyszedł, Joe wstał, przeciągnął się i posadził Suzanne w kojcu.

– Ty też już pójdziesz spać.

– Ja? – spytała zdumiona Lissa. Miała ochotę jeszcze trochę posiedzieć. Po długiej drzemce i podniecającej, pełnej niedomówień rozmowie z Joem, z pewnością nie mogłaby usnąć.

– Zostań, jak długo chcesz, a potem przygotuję cię do łóżka. – Widząc zaskoczenie malujące się na jej twarzy, dodał: – Jeżeli sądzisz, że sama dasz radę się rozebrać z tą ręką w gipsie... Przemysł sprawę jeszcze raz.

Miał, oczywiście, rację. Mogła się posługiwać tylko lewą ręką, utraciła więc całą sprawność. A jednak, pozwolić mu się rozbierać... Poczuli się nagle nie tylko bezradna, ale i ogromnie podniecona. Ściągając z niej dżinsy, musi dotknąć ud. Dostała gęziej skórki.

Joe starał się bardzo, by nie spojrzeć Lissie w twarz, ale gdy pomalutku zaczął zdejmować z niej górne części stroju, spotkali się oczyma. Znowu był spięty i szybko odwrócił wzrok.

Już miała wyszeptać jego imię, ale zaczął gadać jak najęty, zapewne celowo, żeby ukryć podniecenie.

– Zdejmujemy to najpierw przez lewe ramię – powiedział – potem przez głowę. Na końcu przewlecemy ten gips.

Rozkazywał: a to podnieś ramię, a to nogę, przesun się jak nie tu, to tam, aż została przed nim tylko w figach i staniku.

Grzebał w szafie, w końcu znalazł nocną koszulę.

– Odpowiada? – spytał, podając różową z koronkowym kołnierzykiem.

– Jest dobra, ale...

– No, to zaczniemy od głowy. – Wszelka dalsza wymiana zdań została skutecznie przerwana, ponieważ narzucił jej na głowę koszulę. Stał za nią, rozpiął stanik i ściągnął z ramion. Ostrożnie przeciągnął krótki rękaw koszuli przez gips. Potem się od niej odsunął.

– Pójdziesz do łóżka sama?

– Tak, jasne. Ale, Joe... – Odwróciła się, by na niego spojrzeć, jednak na widok uporu w jego oczach nie dokończyła zdania. Westchnęła. Oboje walczyli z bezkompromisowym postanowieniem: ani kroku dalej.

– Joe, dziękuję ci za to, co robisz. Ja...

– Nie masz za co dziękować – przerwał karcącym tonem. – Przecież wiesz, że zrobię dla ciebie i Suzanne wszystko, na co mnie stać.

Wiedziała. Wiedziała także, że jej to nie wystarcza. Pragnęła Joego Douglasa w całości, on zaś pewną część swojego ja uparcie przed nią krył. Miała ochotę drażnić się z nim, śmiać się przy kolacji, choć wiedziała, że zbytnią zażyłość uzna za rodzaj zagrożenia. Była świadoma, dlaczego tak jest, ale ta wiedza nie zmniejszała jej zawodu.

– Słuchaj, kochanie, kilka kwestii musimy sobie wyjaśnić bez owijania w bawełnę. – Poznała po uporze widocznym na jego twarzy, że to, co ma zamiar powiedzieć, nie będzie dla niej szczególnie przyjemne. – Chcę się tobą opiekować. Obiecuję ci to. Ale może tamten wieczór był pomyłką... może tamtego wieczoru popełniliśmy błąd – poprawił się. – Może powinniśmy byli lepiej to przedtem przemyśleć, zanim sprawy wymknęły się nam spod kontroli. – Najchętniej znów dałaby mu w twarz.

– Pomyłka... błąd – powtórzyła. – Joe, wiem, o co ci chodzi. Nie chcesz się angażować uczuciowo, rozumiem dlaczego. Ale przecież już jesteś zaangażowany. I tylko nie chcesz się do tego przyznać, przed sobą albo przede mną.

– Tak myślisz? – spytał urażony. Wyłączył gwałtownie małą lampkę nocną, ale zanim pokój pogrążył się w mroku, Lissa dostrzegła w jego oczach pożądanie.

– Tak – szepnęła drżącym głosem. – Tak właśnie myślę. Myślę, że boisz się własnych uczuć, boisz się, żeby cię znowu ktoś nie zranił.

– Dziwnie to brzmi w ustach kobiety, która wierzga nogami, gdy ją chcę przenieść przez próg nowego domu – mówił bez zająknięcia. Zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi.

– To był jeden z tych twoich planów: ma być tak, jak ty chcesz i bez żadnych, ale to żadnych protestów – powiedziała, zdecydowana nie spuszczać z tonu.

– Chciałeś mnie zainstalować w jakimś domu, przychodzić tam i wychodzić, kiedy zechcesz, a ja miałabym tylko czekać na twoje skinięcie, gotowa stawić się na każde z twoich wezwań.

– Zupełnie nie tak – odparł głosem niskim i drżącym.

– Nie?

Nie odpowiedział, zapanowało między nimi milczenie. Mrok z sypialni przenikał do słabo oświetlonej kuchni, skąd dawał się słyszeć szczebiot ułożonej w kojcu Suzanne i tykanie zegara. Domowe dźwięki. Serce jej się ścisnęło na myśl, że Joe mógłby to wszystko odrzucić.

– Położę już chyba małą do łóżka – odezwał się wreszcie głosem wyraźnie zdławionym. – Będę dziś spał na kanapie, na wypadek, gdyby się obudziła. Zamknę frontowe drzwi, a drzwi do ciebie i do nas zostawię otwarte, żebym mógł też słyszeć Jaya.

Przywykła do mroku, widziała, jak Joe idzie ku drzwiom i światłu sączącemu się z kuchni. Z pewnością był zmęczony i rozdrażniony.

– Spróbuj wypocząć – powiedział, po czym zamknął drzwi do sypialni.

Po chwili wrócił z Suzanne i położył ją na posłaniu. Lissa leżała bez ruchu, nie mogła usnąć i nie chciała, żeby o tym wiedział. Mięśnie jej zeszywniały, bolały stłuczone w

wypadku boki i złamane ramię, ale najbardziej bolało ją serce.

W końcu musiała jednak zasnąć. Obudziło ją rażące światło. Ktoś stał obok łóżka. Z zamkniętymi jeszcze powiekami mruknęła:

– Joe?

– Tak, to ja, malutka. Wypałaś się? – Przysiadł na krawędzi łóżka. Spojrzała, że wygląda fatalnie. Odgarnął jej włosy z czoła i zdobył się na słaby uśmiech. – Przyniosłem ci kawę.

Wzięła kawę z wdzięcznością, nie przestając na niego patrzeć.

– Nie mogłam zasnąć – wyznała. – Myślałam o tobie, jak się męczysz na tej kanapie.

Joe dyskretnie podrapał się po plecach.

– Ja też, można powiedzieć, kiepsko spałem. – Wyprostował kark, przestał się w nią wpatrywać. – A teraz cię ubierzemy.

Odwrócił wzrok, kiedy wstawała. Po skuleniu ramion, po zniecierpliwieniu, z jakim wsunął dłoń do kieszeni, poznała, że jest mu nieswojo.

– Czy to ci odpowiada? – spytał, podając jej czerwoną bluzkę o szerokich rękawach i białe spodnie.

– Może być. – Zsunęła się z łóżka. Była nadal sztywna, złapała równowagę, opierając dłoń o nocny stolik.

Otworzył szufladę z bielizną poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Widziała, że wyjął błękitnego misia w kubraczku zapiętym na malutkie guziczki, zacisnął usta i wrzucił go z powrotem do szuflady. Zgrzytając zębami wyjął parę koronkowych różowych majtek i odpowiedni do nich stanik.

Unikał jej wzroku, nawet już stojąc przed nią i podając bieliznę. Zaczął ostrożnie ściągać z niej nocną koszulę. Usłyszała, że westchnął gwałtownie. Starał się jak mógł, ale nic mu nie wychodziło. Zaklął z cicha.

Wreszcie koszula opadła na podłogę, Lissa stała przed nim w samych tylko w figach. Nadal usiłował na nią nie patrzeć.

– Dasz radę je zdjąć? – bąknął, czyniąc nieznaczny gest w stronę tej kusej części damskiej bielizny.

– Chyba tak – mruknęła. – Joe – powiedziała po chwili wahania.

– Słucham.

– Muszę wziąć prysznic. Jęknął.

Trudno jest brać prysznic, kiedy ma się rękę w gipsie, nalał więc ciepłej wody do wanny i pomógł Lissie wejść. Podając gąbkę, zaciskał szczęki.

– Poradzisz sobie sama?

Poradziła sobie, z wyjątkiem pleców. Zawołała go na sam koniec kąpieli. Wszedł do łazienki bezgłośnie, nadal z udręczonym wyrazem twarzy. Wskazała mu gąbką plecy.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała niepewnie. – Nie mogę tam sięgnąć.

Bez słowa ukląkł przy wannie. Nastąpiło powolne, delikatne mydlenie pleców, przy którym zaczęła na przemian mrużyć jak zadowolona kotka albo zgrzytać z gniewu zębami. Pragnęła, żeby ją porwał w ramiona i zacałował na śmierć. Ale wiedziała, że tego nie zrobi.

Wystraszył się, kiedy powiedziała, że jest w niej zadurzony, ale boi się do tego przyznać. To dlatego unikał jak ognia kontaktu z jej ciałem.

Wiedziała, co Joego dręczy. Jednakże zrozumienie nie uwalniało Lissy od żądy, szczególnie gwałtownej, gdy przestał szorować jej kark i, owinąwszy wielkim kąpielowym ręcznikiem, pomógł wstać.

– Nie ruszaj się – rozkazał, spieszenie ją wycierając. Potem przyniósł czyste figi. – W porządku. Podnieś lewą nogę. – Wykonała polecenie, nasunął majteczki na biodra, coraz bardziej chmurny. Gorzej poszło ze stanikiem, obrócił ją i mocował się z nim od tyłu. Mimo to, kiedy muskał piersi, wiedziała, że dygocze, a gdy zapinał stanik – poczuła na karku jego przyśpieszony oddech.

Odnosiła wrażenie, że ciało jej płonie od stóp do głów, a jednak pragnęła, aby zajmował się nią w ten sposób całe życie. Stała cicho, gdy pomagał wkładać bluzkę, spodnie i buty.

– Zobaczę, czy mała jeszcze śpi – mruknął, zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

Przez resztę dnia odnosił się do niej z rezerwą, ona zresztą do niego tak samo.

Bonnie Ann źle trafiła, przychodząc tuż po lunchu ze skruczą i przeprosinami za spowodowanie wypadku.

Proponowała swą pomoc przy gotowaniu i praniu, ale delikatnie jej podziękowali. Lissa odprowadziła przyjaciółkę do samochodu, zapewniając co chwila, że nie ponosi winy za spowodowanie wypadku.

– On się u ciebie czuje jak w swoim domu! – Bonnie Ann wciągnęła powietrze, wskazując mieszkanie.

– Czasem trochę aż za dużo – przyznała Lissa.

– Więc wyjdź za niego.

– Jest tylko jeden szkopał. On mi się nie oświadczył.

– Nie przejmuj się, niedługo to zrobi – zapewniła Bonnie Ann, wskoczywszy do samochodu. – Każdy facet, który tak traktuje dziewczynę jak on ciebie, musi mieć poważne zamiary.

Lissa nie była znowu tak tego pewna. Nie wiedziała nawet, jak głębokie mogą być uczucia Joego i czy są one szczerze. Miała w pamięci jego kłamliwe zapewnienia, że straszny z niego drań, poza tym skazana była na przeczcucia i – ilekroć na niego spojrzała – ból w sercu.

Wrzucał bieliznę do pralki, gdy Lissa wróciła na górę. Teraz dokądś wychodził.

– Jay jest u kolegi, a ja idę się trochę przejść – oznajmił krótko.

– Czy mogę pójść z tobą? – spytała, ostrożnie badając sytuację.

– Oczywiście, czemu nie?

Joe niósł Suzanne, którą zachwycało wszystko wokół i po kolei wskazywała różne rzeczy swoim tłustym paluszkami. Joe posłuszny małej, przystawał, przykładał, gdy chciała dotknąć mniszka rosnącego między płytami chodnika, potem łaskotał jej podbródek źdźbłem świeżej trawy, aż gruchała i fikała nóżkami.

Dzień był ciepły i słoneczny, powietrze wypełnione brzęczeniem pszczoł i zapachem kwiatów. Lissa szła zamyślona, a gdy podniosła wzrok, Joe stał przed wejściem do białej willi przy końcu ulicy. Zrozumiała, że wyszli niemal poza miasto. Za domem rozciągały się łąny

zbóż, a na łące pasło się leniwie kilka sztuk bydła. Krowy podniosły łby, żeby sobie dokładniej ich obejrzeć.

Willa przypominała dom jej babki; była zadbana i zdawała się zapraszać do wnętrza. Płotek z pomalowanych na biało sztachetek otaczał schludnie utrzymany ogródek z klombami róż i kanny. Frontowy ganek, opleciony pędami klematisa, tonął w powodzi purpurowych kwiatów. Joe ruszył chodnikiem, Lissa pobiegła za nim ciekawa, co ma zamiar zrobić. W oknach nie było firanek, dom wyglądał na opuszczony.

– Chcesz wejść? – spytał i wstąpił na pierwszy schodek.

Lissa zmarszczyła czoło.

– Znasz tych ludzi?

– Niezupełnie. Ale założmy, że to mój dom. Stała patrząc, jak otwiera kluczem drzwi. Gdy wreszcie weszła do saloniku, Joe siedział już zamyślony przed niewielkim kominkiem. Suzanne paplała zachwycona, oglądając szeroko otwartymi oczkami wszystko, co ją otaczało.

– Nie palili w tym kominku od wielu lat – stwierdził odwrócony do Lissy plecami. – Ten dom należał do dwojga emerytów, którzy wyjechali na Florydę. Będę musiał sprowadzić kogoś, żeby przeczyścił komin.

– To śliczny dom – powiedziała Lissa, odbierając od niego dziecko. Przeszła powoli przez salonik do małej jadalni z wbudowanym w ścianę mahoniowym kredensem i ławeczką w okiennym wykuszu. Okno było duże, wychodziło na ogród i sad.

Lissa zwiedzała dom, zapamiętując najdrobniejsze szczegóły, z których wnioskowała, że był wręcz wypieszczony – lśniące drewniane podłogi, pozostawiony tu ręcznie tkany dywan, spiżarnia z kilkoma słojami konfitur domowej roboty na półkach, oszklona tylna weranda, przez którą wychodziło się do przestronnego sadu z mnóstwem owocowych drzew, krzewów i klombów.

Wyglądała przez kuchenne okno; w gałęziach wierzby wiercił się rudzik. Patrząc na ptaszka poczuła, że Joe stoi tuż za nią. Suzanne, z główką opartą na ramieniu matki, zaśmiała się i wyciągnęła ku niemu rączki.

– Na górze są trzy sypialnie i kompletnie urządzona łazienka – powiedział. – Jedna z sypialni ma okno, z którego widać ogromną jabłoń. Byłaby doskonała dla Suzanne, zwłaszcza że to drzewo jest już dość masywne, żeby się na nim kiedyś huścić.

– Dużo tu pokoi – odparła, myśląc o pozostałych sypialniach.

Ponieważ na to nie zareagował, odwróciła się ku niemu i wzruszyła ramionami.

– Lubię domy o wielu pokojach. Wydaje mi się, że zawsze chciałem mieć dużą rodzinę – powiedział.

– Więcej dzieci? – spytała cicho.

– Kiedyś – tak – odparł i zamknął powieki.

– Ale dlaczego kupujesz taki... olbrzymi dom, jeśli ma on być tylko dla mnie? – przyciskała go do muru. To nie był dom, jaki mężczyzna kupuje dla kochanki.

Joe wzruszył ramionami.

– Czy wiesz, że jest tu stary kufer z zabawkami, pozostawiony w pokoju, który będzie sypialnią Suzanne? Ich córka w nim właśnie dorastała.

– Nie mogę tu zamieszkać – szepnęła rwącym się głosem. Bardzo polubiła ten dom, kochała Joego. Ale nie mogła przystać na jego warunki.

– Nawet jeśli przyrzeknę, że się nie będę wtrącał?

– dociekał. – Jeśli pozwolę ci mieszkać tu samej?

– Nie! – Dziecko drgnęło na ostry dźwięk jej głosu, otworzyło szeroko oczy i zaczęło grymasić. Lissa pogładziła je delikatnie, niezdolna oderwać spojrzenia od twarzy Joego. – Nie mogę pozwolić, żebyś to robił dla mnie – powiedziała. – Nie mogę mieszkać w domu, który kupiłeś tylko dla mnie, nie mogę zostać twoją kochanką.

– Mówisz to tak, jakbyśmy zawierali transakcję finansową – odparł gniewnie.

– Bo to tak wygląda. – Starła się, żeby ją wreszcie zrozumiał. – Któregoś dnia zapragnę własnego domu i dzieci. To śliczny dom, ale pewnie bym go zaczęła nienawidzić – i siebie też – gdybym przyjęła twoją propozycję.

– Ale podoba ci się ten dom? – nie ustępował. – Oczywiście, że mi się podoba. On jest... – umilkła, żeby nie wyjawić, że o takim domu marzyła całe życie.

– Jest wspaniały.

– Wymaga pewnych napraw – powiedział po długiej przerwie. Potem przyszło mu na myśl coś innego.

– Dokąd się przeniesiesz, kiedy pani McGee otworzy swój sklep?

Lissa także chciała by to wiedzieć. Miała dosyć ograniczone możliwości finansowe.

– Coś chyba wymyślę – zapewniała go.

– Nie pozwolę ci zamieszkać z dzieckiem w żadnej ruderze – oznajmił, chmurząc się jeszcze bardziej.

– Zanim podpiszesz jakąkolwiek umowę, muszę wszystko dokładnie obejrzeć.

– Nie masz prawa decydować o moim miejscu zamieszkania. – Jaśniej nie mogła mu odpowiedzieć.

– Zobaczymy.

Starła się nie patrzeć za siebie, gdy Joe zamknął drzwi domu i ruszyli z powrotem. Ale nie było to łatwe. Dom był śliczny i w innych okolicznościach natychmiast skorzystałaby z okazji zamieszkania w nim. Na warunkach stawianych przez Joego – nigdy. Wysoką cenę płaciła za własną niezależność, ale gardziłaby sobą, pozwolewszy decydować o swoim stylu życia jakimkolwiek mężczyźnie. Zwłaszcza Joemu Douglasowi.

Tego wieczoru Lissa pracowała w sklepie krócej, a Joe, choć po nią przyjechał, nadal zachowywał się opryskliwie. Gdy przygotowywała dziecko do snu, usiłował ją w tym wyręczyć; uparł się, że jeszcze nie powinna tego robić sama. Odsunęła gniewnie jego dłonie, by po chwili stwierdzić, że mała nie pozwoli się wykapać, jeśli zabraknie przy tej ceremonii Joego.

Przejął inicjatywę ponownie, z tą swoją męską pewnością siebie, która już nieraz doprowadzała ją do szewskiej pasji. Ale gdy Suzanne znalazła się w łóżeczku, Lissa postanowiła przebrać się do snu bez jego pomocy. Poradziła sobie nieźle ze wszystkim z wyjątkiem bielizny, w końcu musiała zsunąć stanik przez głowę. Zmęczyła się i zirytowała,

gdy przyszło do wkładania tej samej różowej nocnej koszuli, którą miała na sobie poprzedniej nocy.

Zamknęła drzwi do sypialni i położyła się w mroku, słuchając, jak Joe grasuje po kuchni. Upłynęły co najmniej dwie godziny, zanim usłyszała, że robi sobie postanie na kanapie. Mając go tuż za ścianą, nie mogła usnąć, przewracała się z boku na bok. Przysnęła na moment, potem się ocknęła już na dobre. W końcu wstała z łóżka, podreptała bosą do dziecka. Suzanne spała, Lissa pozazdrościła jej spokoju.

Poszła, rozbudzona, do kuchni. Z saloniku nie dochodził żaden dźwięk, zrozumiała więc, że Joe śpi. Okno w kuchni pozostawił nieco uchylone, usłyszała nocne nawoływanie lelka. Wymknęła się na półpiętro, a stamtąd na balkon, zamknawszy za sobą cichutko drzwi.

Leżak był nieco wilgotny od rosy i dobrze widoczny w księżycowej poświacie; strzepnęła go dłonią, po czym usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Siedziała tak dość długo, patrząc w gwiazdy i rozmyślając.

– Żle się czujesz?

Drgnęła na dźwięk tego głosu, rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że Joe stoi w progu, ubrany tylko w dżinsy. Zaciągnął suwak, ale w świetle księżyca spostrzegła, że nie zapiął guzika. Stał bez butów i bez koszuli, blask księżyca zdawał się srebrzyć jego skórę. Wyglądał niczym posąg jakiegoś bożka. Trwał nieporuszony, mrok ocieniał mu twarz. Widziała tylko, że jest spięty.

– Co ty tu robisz? – spytał.

– Nie mogłam zasnąć.

– Ani ja.

Ośloniła ich noc, Lissa podniosła się z leżaka, podeszła do balustrady odwrócona plecami do Joego. Nie mogła stać blisko; nazbyt go pragnęła, jego bliskość mogła złamać jej żelazne zasady. Przysięgła, że nie zostanie jego kochanką, za nic nie pozwoli mu za siebie płacić ani narzucać sobie miejsc zamieszkania. Była tylko ciekawa, kiedy ją porzuci. Lecz jakże trudno nie przyłgnąć do tych opiekuńczych ramion, nie pozwolić mu, by stopił się z nią w jedno ciało, by cała reszta świata zbladła i straciła na znaczeniu.

– Dlaczego zostałeś budowniczym? – spytała cicho, wiedząc, że jest to pytanie, jakiego się nie spodziewał. – Co ci każe budować mosty?

Czuła, że Joe zastanawia się nad odpowiedzią.

– Mam smykałkę do konstruowania – odparł w końcu. – Ja jeden z całej rodziny zawsze chciałem składać różne rzeczy do kupy. Najpierw musiałem je porozbierać, moja matka dostawała przez to szału.

Lissa uśmiechnęła się w mroku.

– To zostań konsultantem pani McGee.

– Dam jej parę lekcji – przyrzekł.

– Może ich być za mało, żeby uratować choć jeden zegarek – dodała, byle coś powiedzieć. Umilkła, potem powtórzyła swoje pytanie: – Ale dlaczego zostałeś budowniczym?

– Bo to lubię – odparł po prostu. – Budowa drogi na pustkowiu albo mostu przez rzekę



cieszy mnie. Buduję je i wiem, że lata miną, a ludzie będą z nich korzystać, że staną się częścią ich życia.

Lissa skinęła głową. Rozumiała ten rodzaj satysfakcji.

– Sam stworzyłeś swoją firmę?

– Tak. Na początku szło jak po grudzie, tyrałem jak dziki osioł, żeby ruszyć z martwego punktu. – Mówił zdławionym głosem, wyczuwała rosnące w nim napięcie. – Caroline usiłowała zmusić mnie w czasie sprawy rozwodowej, żebym wszystko sprzedał i podzielił się z nią zyskiem.

– Naturalnie nie udało się jej.

– Nawet do zamknięcia firmy nie doszło – powiedział Joe tonem, w którym usłyszała żelazną determinację. – Nikt by mi mojej firmy nie odebrał. – Umilkł znowu, a potem dodał: – Co zamierzasz zrobić po uzyskaniu dyplomu? – Usłyszała, że podchodzi bliżej.

– Chcę uczyć. Z tych samych powodów, dla jakich ty budujesz. To pożyteczne, mam nadzieję, że także nauczę dzieci czegoś, co im będzie służyć przez całe życie.

Pomyślał, że będzie dobrą nauczycielką. Taką, do której uczniowie przychodzą po radę po ukończeniu szkoły, nawet już z własnymi dziećmi. Miała w sobie coś, co przyciągało ludzi.

Lissa sprawiła, że zatęsknił do czegoś, co utracił dawno temu; do prawdziwego domu, do dzieci, do śmiechu. Jednakże pragnienie to nie było równoznaczne z możliwością jego spełnienia. Na razie mógłby tylko dzielić z Lissą tamten dom. Ale ona by na to nigdy, przez tę swoją cholerną dumę i niezależność, nie przystała, więc już nie nalegał. Był taki moment, że chciał postawić jej ultimatum: albo zamieszka z nim w tym domu, albo on pójdzie sobie do wszystkich diabłów i to na zawsze. Ale w czasie krótkiej znajomości z Lissą zaszła w nim niepojęta zmiana. Jakoś mu się nie chciało od niej odchodzić. Coś go przy niej trzymało, czuł, że z każdym mijającym dniem ta więź staje się silniejsza. A co najśmieszniejsze: te więzy wcale nie uwierały.

Odwróciła się od balustrady, żeby wrócić do łóżka. Było późno, a następnie dnia miała wiele zajęć. Potknęła się w ciemności o leżak, Joe schwycił ją i nie pozwolił upaść. Oboje znieruchomieli z wrażenia, Lissa wstrzymała oddech.

– Późno – mruknął i odsunął się, by mogła odejść, ale sam został na miejscu. Czowała jeszcze na ramionach ucisk jego palców. Księżyc wyostrzał i tak już twarde rysy jego twarzy, ale oczy i głos zdradzały, że jest podniecony.

Wyszeptała jego imię. Pofrunęło w noc, uniesione przez lekki wiatr. Zaczął ją całować, przestał, potem całkiem stracił nad sobą panowanie. Wessał się w jej usta jak wygłodniały wilk. Kiedy indziej ta gwałtowność sprawiłaby Lissie przykrość, tym razem jej namiętność i pożądanie dorównywały jego pragnieniom. Chciała go mieć tu i teraz.

Gdy wreszcie podniósł głowę, odetchnęła głęboko. Wodził palcami po nagiej skórze jej ramion, musnął obojczyki, potem piersi. Kołysała się, obejmując dłońmi ramiona Joego, a on wodził ustami po jej karku i szeptał:

– Jesteś taka piękna, skarbie. Gdy cię dotykam, tracę nad sobą panowanie.

– Ja też – przyznała z wahaniem.

Czuła na karku jego ciepły oddech. Potem podniósł głowę i powiedział po raz drugi:

– Jest późno. Wracaj do łóżka. – Odsunął ją ostrożnie.

Lissa wróciła do sypialni.

Nie mogła usnąć. Jej ciało nadal palił ogień pożądania, a serce rwało się do mężczyzny, którego tak kochała.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lissa powinna poczuć coś w rodzaju ulgi. Egzaminy zdała, na obu kursach zdobyła najwyższe noty. Praca była mniej męcząca, dano jej do pomocy dwóch studentów, którzy w czasie wakacji pracowali na pół etatu w stoisku z artykułami codziennego użytku.

Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy Joe rozmawiał z nią na balkonie. Potem starannie unikał wszelkich spotkań.

Nadal gotował posiłki i pomagał przy dziecku, ale jej nie musnął nawet wierzchem dłoni, czym doprowadzał ją do szału. Czowała się odrażona. Widząc jego wiecznie zafrasowaną twarz, nie była pewna, które z nich cierpi bardziej.

Joe kończył mycie naczyń, gdy Jay przecwałował przez korytarz do swego pokoju, żeby zdążyć na ulubiony program telewizyjny, nadawany w sobotnie wieczory.

– Zabieram jutro Jaya na przyjęcie urodzinowe do Pittmana – powiedział, bez związku z czymkolwiek. – Nie przejechałabyś się z nami?

Lissa wstawiła trzymany w ręce czysty talerz do kredensu i odwróciwszy się, zobaczyła plecy Joego. Był wyraźnie spięty, ale tak zachowywał się od dwu tygodni.

– Oczywiście – odpowiedziała, niepewna, czy nie pożałuje, przyjmując to zaproszenie.

Oboje czuli się znużeni, Lissa próbami wywalczenia sobie niezależności, Joe zaś walką z pragnieniem porwania jej w ramiona i własnym przewrażliwieniem. Zdawała sobie sprawę, że była to walka przegrana.

Wyjechali pickupem następnego ranka. Jay usiadł między ojcem i Lissą. Pani McGee chętnie zabrała Suzanne, obiecując, że wyjdzie z nią na spacer. Chłopiec paplał przez prawie całą drogę, a jego wesołość wydawała się niemal zaraźliwa.

– Pokaż jej nasz dołek wędkarski! – krzyknął, gdy skręcili z szosy w polną drogę, żeby jechać do Pittmana na skrót.

– Okay – przystał Joe, rzuciwszy na Lissę szybkie spojrzenie. Zatrzymał samochód, Lissa wyszła z szoferki, Jay pobiegł przed nią i wskazywał drogę.

– Tedy! – wołał, przechodząc między drzewami na skraju traktu.

Joe szedł wolniej. Lissa odwróciła się, spojrzeli sobie w oczy.

– Czy wolno nam tędy chodzić? – spytała. – Czy właściciel nie będzie miał nam tego za złe?

– Ta ziemia należy do mojego przyjaciela – odparł Joe. – To część jego farmy. Przyjeżdżam tu z Jayem na ryby, od kiedy potrafi utrzymać wędkę.

Jay schodził w dół po skarpie, Lissa poślizgnęła się i straciła równowagę. Joe zdążył wyciągnąć ramię, ratując ją przed upadkiem. Stała, spojrzała na niego i spostrzegła, jak bardzo jest spięty wewnątrz. Zaparło jej dech. Natychmiast się odwróciła i Joe puścił jej ramię.

– Tu, w tym miejscu złapałem wielkiego okonia – oznajmił z dumą Jay, gdy zeszli pod nasyp. Promienie słońca odbijały się w rzece, jakby jakiś olbrzym obsypał ją garściami brylantów. Drzewa pochylały się nad brzegiem, wczepione weń gruzłowatymi korzeniami.

Kumkały ukryte gdzieś żaby, Lissa spostrzegła wygrzewającego się na pniu żółwia.

– Jak był duży? – spytała chłopca, świadoma, że to ulubione pytanie wędkarzy.

Jay uśmiechnął się, rozstawił dłonie w odległości pół metra jedna od drugiej. Joe podniósł brwi i syn nieco zmniejszył rozstaw dłoni.

– To był kolos – powiedział. – Czyściliśmy go obaj z tatą i potem tu usmażyliśmy.

– Najlepsza ryba, jaką kiedykolwiek jadłem – potwierdził Joe. Patrzył na syna z prawdziwą dumą.

– Czy możemy przyjść tu jutro? – spytał Jay, już podniecony swoim nagłym pomysłem. – Przywieziemy Lissę. Lubisz łowić ryby, prawda?

– Nie łowiłam ich od lat – powiedziała, ułatwiając Joemu wyjście z sytuacji.

– Słuchaj, synku – zaczął Joe i przerwał na widok rozczarowania w oczach Jaya. – Jutro nie, muszę popracować, ale może w czasie następnego weekendu.

Jay odbiegł, aby obejrzeć rosnące za zakrętem drzewo, na którym podczas ostatniego pobytu wypatrzył wiewiórczą dziuplę. Joe stał nad samą wodą, trzymał ręce w kieszeniach i studiował swoje odbicie.

– Jay to jedyny człowiek, jakiego tu przywoziłem – powiedział. – Przyjeżdżaliśmy tylko we dwóch. Caroline wędkowanie nic a nic nie obchodziło.

– Nie mogę powiedzieć, że mnie to strasznie podnieca – odparła Lissa. – Ale mogłabym czasem przyjechać tu na ryby z tobą i Jayem.

– Nie musisz. – Przykucnął, wyrwał źdźbło trawy.

– To była tylko luźna propozycja.

– Dlaczego sądzisz, że nie chcę tu przyjeżdżać? – spytała pochylając się nad nim, naburmuszona.

– Dlatego, że nie znosisz wszystkiego, co ci proponuję – odparł bez ogródek. Wstał i spojrzał jej głęboko w oczy.

Lissa westchnęła. Najwidoczniej tak to sobie wyobrażał.

– To nieprawda, że nie znoszę wszystkiego, co mi proponujesz – zaprotestowała. – Chodzi o to, że ty przeważnie nie proponujesz. Ty rozkazujesz.

– Ja? Rozkazuje? – Był całkowicie zaskoczony.

– Rozkazujesz – powtórzyła Lissa. – Masz tę okropną manierę szefa-despoty. Lepiej by nam szło, gdybyś naprawdę proponował, zamiast mówić, co powinnam robić.

– A ciebie dla odmiany cechuje koszmarny upór – kontratakował.

– No to już wiesz wszystko – podsumowała nonszalancko.

W kącikach ust Joego zaigrał uśmiech.

– Czy mógłbym ci coś zaproponować?

– Na przykład co? – spytała podejrzliwie.

– Żebyś mnie pocałowała – powiedział. – To nie rozkaz. To raczej prośba.

Lissa poczuła się rażniej.

– Myślę, że na to mnie jeszcze stać.

Joe podniósł palcem jej podbródek i odchylił twarz. Najpierw delikatnie musnął jej wargi, potem się do nich przyssał. Odpowiedziała tym samym i otoczyła ramieniem jego szyję.

– Hej, tato, Lisso! – zawołał Jay. – Chodźcie, pokażę wam wiewiórki!

Joe westchnął i delikatnie odsunął Lissę.

– Chodź, ten hultaj nie da nam spokoju.

Godzinę później zawieźli Jaya na przyjęcie i Joe udzielił mu ostatnich porad w kwestii dobrego wychowania. Obiecał, że wróci po niego za trzy godziny.

Joe objechał miasto, Lissa była zachwycona otaczającym ich krajobrazem, jakby po raz pierwszy była w tych stronach. Siedząc u boku Joego patrzyła na wszystko jego oczyma.

– Tutaj – wyjaśniał z uśmiechem, skręciwszy na szeroką, prostą drogę wyjazdową – odbywały się kiedyś wyścigi samochodowe, urządzone przez miejscową młodzież.

– Ale ty, oczywiście nie brałeś w nich udziału – powiedziała z udaną niepewnością.

Zaśmiał się szerzej i wjechał na krawężnik.

– Miałem takiego kapitalnego, małego mustanga. Kupiłem go za pierwsze zarobione pieniądze i sam przerobiłem silnik.

– I pobiełeś na łeb tych wszystkich pętałów na rozklekotanych gruchotach – dodała, patrząc na ulicę i bez trudu wyobrażając go sobie jako zwariowanego wyrostka.

– Zgadłaś.

Lissa uśmiechnęła się także.

– Założę się, że podobałeś się wielu dziewczynom – powiedziała.

– Jedna tylko okazała się na mnie odporna – rzekł, nabijając się z siebie tak wyraźnie, że musiała na niego spojrzeć. Przyglądał się jej błyszczącymi i niezgłębionymi oczyma.

– Czyżby?

– Mówiła, że za często zachowuję się jak despota. Ona nie potrzebuje nikogo i niczego, a już na pewno nie mnie.

– I tu się mylisz!

– Czyżby?

– Właśnie. Ona potrzebuje odrobiny uczucia, trochę czułości, trochę... – już miała powiedzieć: miłości, ale ugryzła się w język.

– A co, jej zdaniem, działo się w ciągu paru ostatnich tygodni? – nacierał oburzony, a może nawet urażony, jeśli go właściwie odbierała.

– Joe – odparła tklawie, wyciągając dłoń, by go dotknąć – ja chcę czegoś więcej niż twoje pieniądze i twój czas...

Spojrzał na jej dłoń i zmarszczył brwi. – ... i twoja niesamowita, męska uroda – drażniła go, usiłując mówić to lekko, ponieważ była bliska płaczu.

– Lisso – powiedział cicho, świdrując ją ciemnymi oczyma. – Staram się jak mogę.

– To, co mi dajesz, jest wspaniałe – odparła. – Mój Boże, mężczyzna, który gotuje tak jak ty, kocha dzieci i dba o mnie, jakbym była bezcenną figurką z saskiej porcelany... Domyślam się, że każda kobieta marzy o kimś takim.

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Wiesz, jak lubię, kiedy mi robisz podobne wykłady. – Zaciśnął palce na jej dłoni i dodał rzeczowo: – To ci nie wystarcza, Lisso?

Spoważniała.

– Prawie zawsze inni dyktowali mi swoje warunki, Joe. Mam już tego dość. Nie chcę być niczyją niewolnicą.

Domyślał się, ile ją kosztowało to wyznanie. Widział walkę i widział smutek na jej twarzy, na tej pięknej, wyrazistej twarzy, która nie dawała mu spokoju od dnia, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Siedli, splótszy dłonie; udawali, że podziwiają krajobraz, jakby patrzeć na siebie sprawiało im zbyt wielką przykrość.

– Co się stało z twoim wozem? – spytała w końcu, głosem zniżonym do szeptu. – Z tym mustangiem, o którym wspomniałeś?

Długo nie odpowiadał. Pomyślała, że w ogóle nie odpowie. A jednak zaskoczył ją całkowicie.

– Stoi gdzieś na złomowisku albo walają się tam jego szczątki. – Zaciśnęła palce tak, że aż zbieleły ich stawy. – Brat go rozbił. Właśnie wyprzedziłem jakiegoś małego chevroleta z drugiego końca miasta i czułem się, nie przymierzając, jak wielki as. Przyczepił się do mnie jeden taki wesołek, weszliśmy do zajazdu na hamburgera. – Przerwał, wpatrując się w jej twarz, po czym dodał tonem skrzywdzonego chłopca: – Wtedy brat wyjął kluczyki z kieszeni mojej marynarki i pojechał; biorąc zakręt wypadł z szosy. Wyszedł cało... w porę wyskoczył... ale mustang spadł do parowu. Taki był koniec mojej kariery wyścigowca. – Westchnął ciężko. – Alex musiał zniszczyć to, czego nie mógł mieć. Nie myślałem o tamtym wozie od lat.

– Przepraszam cię, Joe – szepnęła.

Coś ciągnęło ją ku niemu, ale odnosiła wrażenie, że oboje przekroczyli jakąś niewidoczną barierę. Podejrzewała, że nie odkrył tej szczególnej prawdy dotychczas przed nikim i doceniła jego szczerłość. Sam był zdumiony, że posunął się aż tak daleko.

– Co byś powiedziała, gdybym cię zaprosił do mojego domu? – badał grunt, znowu się do niej uśmiechając, chociaż nie był to uśmiech beztrioski.

– Miałem nadzieję, że poznasz moją mamę, ale wyjechała na wakacje. Zapisuje się na wszystkie zbiorowe wycieczki i zwiedza kraj autokarem. Zastaniemy ją następnym razem.

Lissa poczuła ucisk w gardle. Nic dziwnego, że Joe chciał ją przedstawić matce. Ale nie wiedzieć czemu, wcale na to nie liczyła. Uświadomiła sobie, że wciąż spodziewała się po Joem wszystkiego, co najgorsze.

– O czym myślisz? – spytał cicho, spojrzawszy ukradkiem na jej profil. Zjechał pickuperem na jezdnię i ruszył przez miasto.

– Że cię nie doceniałam – odparła z uśmiechem. Znowu uniósł brwi.

– Tak? To cóż, może znajdzie się jakiś sposób, żebyś mnie doceniła bardziej? – Uśmiechał się łobuzersko.

– Może jakiś sposobik.

– Może. – Mimowolnie sama zaczęła się do niego uśmiechać.

Dom stał w cienistej uliczce, mały murowany dom, niepodobny do otaczającej reszty. Rosnące przed nim wielkie dęby rzucały w gorącej porze dnia chłodny cień. Jeszcze bardziej zaskoczyło Lissę wnętrze.

– Wyburzyłem jedną ścianę i trochę tu uporządkowałem – powiedział Joe skromnie, widząc, że Lissa rozgląda się dokoła z podziwem. Owo „trochę tu uporządkowałem” nie oddawało istoty tego, co zrobił naprawdę. Jasna, przestronna kuchnia była otwarta na salon, a oba pomieszczenia przylegały do dwu następnych pokoi i oszklonej werandy. W salonie i na werandzie stało dużo mebli dębowych i wiśniowych, na fotelach leżały wielobarwne poduszki.

– Piękne – zachwyciła się Lissa.

– Wybierałem te mebelki w małych antykwariatach, w czasie robót w terenie – powiedział, kładąc dłoń na jej plecach, po czym delikatnie skierował ją ku przylegającemu do salonu korytarzowi. – Powiększyłem łazienkę.

– Powiększyłeś? – powtórzyła jak słabe echo, ujrawszy owo cudo, jakby żywcem przeniesione z lśniących magazynów reklamowych, jakie zwykła kartkować czekając na wejście do dentysty. Ściany pokrywały lustra, podłogę błękitne kafelki, świetlik sączył przefiltrowane promienie słońca. Pomieszczenie dzieliła ścianka ze szklanych płyt, a gdy Lissa weszła do środka, ujrzała wannę wpuszczoną w podłogę i niewielki basen w zakątku otoczonym błękitnymi kafelkowymi schodkami. W dwu rogach łazienki stały wysokie, soczysto-zielone rośliny, nadające temu pomieszczeniu wygląd tropikalnego raj. Na stopniach ułożono sterty grubych, błękitnych ręczników.

– Miałem z tym trochę roboty w wolne dni – powiedział, uprzedzając pytanie. – Zamierzałem ten dom sprzedać, ale Jay bardzo go lubi, ja zresztą też. – Wzruszył ramionami. – Wiem, że to nie wygląda na zwykłą kawalerkę.

– No nie – westchnęła. – Z pewnością nie.

– A sypialnia jest tam – wskazał drzwi.

Poszła i zajrzała do środka. Pokój, podobnie jak reszta domu, był obszerny i jasny. Pod jedną ze ścian stało nakryte grubą kapą obszerne, dębowe łóże, a obok niego dębowa nocna szafka. Kolorowe, ręcznie tkane dywany przykrywały jasne drewniane deski podłogi, a w kącie stał kosz suszonych kwiatów. Na wiekowej toalecie białął dzban, stała przyozdobiona barwnym wzorem miedniczka i wisiały ręczniki.

Okna były duże, kotary ciemnobłękitne, ostro kontrastujące z jasnymi ścianami. Na zewnątrz po murze pięła się winorośl i inne pnącza.

– Podoba ci się? – spytał.

– Masz dobry gust – odparła cicho, potrząsając głową. – To jest cudowne.

Nie skomentował. Lissa czuła, że stoi tuż za nią, czuła na sobie jego wzrok. Odwróciła się powoli i zajrzała mu w rozżarzone oczy.

– Joe – szepnęła.

– To mnie dobija, Lissa – westchnął. Wyciągnął ramię i na chwilę zamarł w bezruchu niezdecydowany, potem tkliwie musnął jej policzek. – Tak bardzo cię pragnę.

Nabrała powietrza w płuca.

– Joe! – wyszeptała drżącym głosem. Na więcej zdobyć się nie mogła. Resztę powiedziała oczyma. Pragnęła go bardzo. Potrzebowała jego siły i jego czułości. Ten mężczyzna był jej potrzebny, jak żaden ze spotkanych w ciągu całego życia.

Joe podniósł ją bez słowa i zaniósł do łóżka, położył i pozwolił patrzeć sobie w oczy, w których widać było wszechogarniające pożądanie. Żadna z kobiet nie działała na niego tak silnie. Gdy dotykał Lissy, zdawało mu się, że cały płonie.

Położył się przy niej, mocno ujął twarz dziewczyny w dłonie i wycisnął na ustach gorący pocałunek. Oboje milczeli; nie potrzebowali słów. Zaczęli się nawzajem spieszenie, gorączkowo rozbierać. Zdjęła w pośpiechu odzież tworzyła bezładną stertę na podłodze. Ruchy Lissy spowolniał gips, Joe pomagał jej, bacząc, by nie podrzeć czerwonej bluzeczki i spódnicy. Gdy dobrał się do bielizny, drżały mu ręce. A gdy była już naga, ukląkł i przesunął dłonią wzdłuż całego jej ciała. Wyszeptała jego imię i wyciągnęła ramiona, ale potrząsnęła tylko głową.

– Poczekaj, maleńka. – Sięgnął do nocnej szafki.

Nie zaskoczył jej, była rada, że pomyślał o wszystkim. Troszczył się o nią, ale widziała, że najchętniej wzięłby ją natychmiast. Podłożył jej pod biodra poduszkę, potem ukląkł i jakby się zawahał. Miał w oczach płomień; dotknęła go wnętrzem dłoni.

– Co się dzieje, Joe? – zamruczała jak kotka.

– Nie chciałbym urazić twojego ramienia – powiedział.

– Już się zrosło. Myślę, że urazisz mnie o wiele bardziej, jeżeli będziesz zbyt długo zwlekał. – Była nieco rozstrojona, ale próbowała się uśmiechnąć.

Rozkosz, doznana bez wstępów, spadła nagle i oszałamiająco. Lissa jęknęła. Joe pochylił się, by najpierw całować, potem ssać jej sutki, uchwyciła go za włosy, próbując na siebie ściągnąć.

– Jesteś piękna – szeptał urywanym głosem, doprowadzając ją ruchami ciała do takiej ekstazy, że się pod nim wiała. – Nie chciałem, żeby jakakolwiek kobieta kiedykolwiek znów nade mną zapanowała. – Westchnął głęboko. Lissa wygięła się w łuk. – Ale przy tobie...

– Czy ja cię... czy ja nad tobą panuję? – szepnęła, pragnąc zapanować nad nim całkowicie.

– Tak – odparł szeptem. – Tak. Nigdy cię nie mam dość. – I jakby dla podkreślenia wagi swego wyznania przydusił ją całym ciałem i niemal natychmiast doprowadził do spazmu.

– Joe! – krzyknęła z rozkoszy, bo sposób w jaki ją posiadał, obezwładniał i uskrzydlał zarazem. – Joe... Kocham cię...

Wyczuła, że rozładowany, zadrżał na całym ciele. Nie była tylko pewna, czy usłyszał jej słowa. Z wolna zaczynała oddychać normalnie. Ośmieliła się spojrzeć mu w twarz. Pochyliła się i musnęła ustami jego wargi.

– Wszystko będzie dobrze – obiecał, ale się nie uśmiechnął.

Usnęła; gdy później się obudziła, ostrożnie odgarnął włosy z jej twarzy.

– Czy wolisz ten dom od tamtego? – spytał znienacka.

– Słucham? – nie zrozumiała.

– Ten dom. Podoba ci się?

– O czym ty mówisz?

– Pytam, czy nie zamieszkałabyś tu ze mną.

– Joe? – szepnęła, dygocąc.



– To nie jest umowa na chwilę – zapewnił, wsparty na łokciu. – To jest mój dom, Lisso, a nie dom, który kupiłem, żeby cię zwabić. Pytam, czy chcesz go ze mną dzielić.

Patrzyła, pragnąc mu uwierzyć, uwierzyć w ich wspólną przyszłość, i czuła, że potrzebuje nadziei.

– Boję się – szepnęła.

– Ja też, kochanie – mruknął z uśmiechem i pocałował leciutko. – Ja też. – Chwyił ją w ramiona. – Jestem z tobą. Nie chcę cię opuścić. Pozwól mi tego dowieść.

Powiodł dłońmi po jej ciele i w jednej chwili rozbudził. Westchnęła i przywarła do niego. To, co nastąpiło potem, nie było powolną wspinaczką na szczyt. Oboje odnosili wrażenie, że trawi ich ogień, przy którym żar piekła wydałby się zaledwie przytulnym ciepłkiem. Lissa straciła resztki panowania nad sobą, oddawała Joemu wszystko – ciało i duszę – wykrzykując miłosne zaklęcia. I tak oboje ogarnęła ekstaza, po czym nagle, jednocześnie przeżyte spełnienie przerwało napięcie. Nadeszło uspokojenie. Joe obejmował ją z przejmującą czułością; Lissa pieściła masywny tors, słuchając bicia jego serca. Zapadła cisza i zapanował pokój.

– Pora wracać – szepnął w końcu, unosząc się nad nią i drażniąc musznięciami warg. – Albo tak mi się tylko zdaje, że pora wracać. Nadal nie mam porządnego zegarka.

Lissa uśmiechnęła się i wyciągnęła ramiona, żeby go przytulić i pocałować. Potem pomógł jej się ubrać.

– Joe? – spytała cichutko, gdy ubrawszy ją, wciągał buty.

– Słucham, kochanie? – Wstał i przyglądał jej włosy. Widać nie mógł się oprzeć pokusie.

– Ten dom, Joe. Jakże mogłabym tu mieszkać i nadal jeździć do pracy i do szkoły?

Znowu przysiadł na krawędzi łóżka.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – mruknął. – A mogłabyś się przenieść do innego domu? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie wiem, Joe – odparła bezradnie. Chciała być przy nim, blisko. Ale za jaką cenę? – Nie o to chodzi, że ja ciebie nie chcę – powiedziała, pragnąc, żeby wreszcie zrozumiał. – Problem polega na tym, że oczekuję od ciebie czegoś więcej. Muszę wiedzieć, czy tam będziesz, no, może nie na co dzień, ale przynajmniej tak często, jak będziesz mógł. Ja chcę... mieć pewność. Joe, kocham cię!

Wreszcie to z siebie wyrzuciła. Były to słowa, które przez całe życie pragnęła usłyszeć z ust każdego, na kim jej zależało. A słyszała je jedynie z ust babci. Tylko że miłość babci zrodziła się z litości; babcia wychowała własne dzieci, a Lissą zajęła się z poczucia obowiązku. Nikt inny się o nią nigdy poważnie nie troszczył, po raz pierwszy w życiu prosiła o miłość. Wiedziała, że Joe się nią zaopiekuje, dowodził tego na wszelkie możliwe sposoby... Unikając jedynie słów. A jej potrzebne były słowa.

Nigdy o nic nie prosiła dla siebie, a już na pewno nie zwracała się o nic do mężczyzn. Czuła się więc po tym swoim wyznaniu niezręcznie.

Joe powoli usiadł, przyglądając się jej z taką czułością, z jaką jego dłoń pieściła ją przed chwilą. Wiedział, jak łatwo ją zranić. Wiedział, że poznał już jej prawdziwą naturę. Oczy miała duże, błękitne, ufne. Prosiła o coś tak zwyczajnego, o to, żeby jej obiecał, że będzie go

miała tylko dla siebie.

Uczyniłby dla niej wszystko, co w jego mocy, ale nie zamierzał dawać obietnicy, której by nie mógł potem dotrzymać. Miał tylko pewność, że będzie się bardzo starał.

– Joe... – zaczęła znów, cichutko. Wstał i otulił ją ramionami.

– Spójrz na mnie, maleńka – szepnął. – Wiesz o mnie wszystko, prawda? Jest tak, jak ci już powiedziałem – zrobię to, co zrobić powinienem. A powinienem dbać o ciebie. Nie mogę obiecać ani więcej, ani mniej. Ale wiem jedno: kocham cię. – Objął ją, przytulił i spojrzał w oczy.

Odetchnęła z ulgą.

– Więc co dalej? – szepnęła.

Połąskotał ją w podbródek i obdarzył czułym uśmiechem.

– Pojedziemy po Jaya, wrócimy do domu i zaczniemy się zastanawiać, co, u diabła, zrobić z tymi moimi przekłętymi dwoma domami.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po powrocie do domu musieli odłożyć dalszą rozmowę o mieszkaniach. Jay zjadł trochę za dużo lodów i ciastek i cały wieczór spędził siedząc na kanapie Lissy, pijąc herbatę ziołową i pojękując boleśnie.

– To było fantastyczne przyjęcie, tatusiu – stęknął. – Tańczyłem.

– Naprawdę, synku?

– Noo! Nie byłem nawet taki zły. – Jay uśmiechnął się, po czym natychmiast wypił łyk herbaty. – Nauczyliscie mnie, ty i Lissa...

– Miło to słyszeć – odparł Joe, szukając oczyma wzroku Lissy, bo właśnie weszła do saloniku z Suzanne na rękach. – Zostaliśmy skomplementowani – powiedział. – Wychodzi na to, że moglibyśmy założyć szkołę tańca. Może powinniśmy przedtem poćwiczyć trochę stepowanie.

– Co masz na myśli? – Podała mu Suzanne i usiadła na zreperowanym przez niego fotelu na biegunach.

– Za rok moja firma rozpocznie budowę drogi w południowej części stanu. Otrzymałem właśnie ofertę. – Objął palcami jej dłoń. – Zwykle w ten sposób spędzam urlopy. Mają tam kluby, fantastyczne orkiestry. No i jest wielkie wędkowanie – dodał, mierzwiąc Jayowi włosy.

– To brzmi zachęcająco – zauważyła Lissa, niezdolna wykrzesać z siebie entuzjazmu, jakim powinna zapłonąć na myśl o jego nowej pracy. Joe patrzył na nią, więc ostentacyjnie zajęła się dzieckiem.

Po chwili zabrał Jaya, żeby mu przygotować łóżko; Lissa wymknęła się z saloniku i ułożyła Suzanne do snu. Stała chwilę, patrząc na córeczkę. Drzwi otworzyły się i zamknęły cicho, mimo to . wiedziała, że wszedł Joe. Gdy odwróciła się w ciemnościach, był już tak blisko, że otarła się o niego ramieniem.

– Coś jest nie tak, Lisso? – spytał.

Raz jeszcze spojrzała na śpiące już niemowlę i wyminawszy Joego poszła do kuchni. Ruszył za nią, niepewny. Położył dłoń na jej ramieniu.

– Śmiało, maleńka – namawiał – powiedz, o co chodzi?

Odwróciła się i cofnęła o krok, wtedy jego ramię opadło.

– Nowa praca – powiedziała. – Wyjedziesz. Sposepniał.

– Zawsze będę wyjeżdżał, to na jedną, to na drugą budowę. Myślałem, że to rozumiesz.

– Teoretycznie chyba rozumiem – przyznała. – Ale po tej całej gadaninie o domach wydawało mi się... myślałam, że już będziemy razem.

– Bo będziemy – zapewnił, kładąc dłonie na jej biodrach. – Tyle, że muszę pracować.

– Wiem. – Odwróciła się do niego plecami.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedział. – Uwierz mi, maleńka.

Za ścianą w mieszkaniu Joego zadzwonił telefon. Ruszył ku drzwiom, obrzuciwszy Liszę długim, badawczym spojrzeniem. Jay wybiegł mu naprzeciw.

– Do ciebie, tatusiu. To pan Cassidy. Mówi, że musisz podpisać jakieś papiery.

Joe spojrział na Lissę tak, jakby miał jej coś jeszcze do powiedzenia, ale już zamykała za nim drzwi.

Musiała się rozebrać do snu bez jego pomocy, potem weszła do sypialni zmęczona – i co dziwne – wcale nie chciało jej się spać. Joe przyrzekł, że zamieszka z nią, ale to się przecież nie uda. Zawsze będzie jakaś następna robota, a po niej jeszcze następna. Będzie wchodził w jej życie tylko wtedy, kiedy uzna to za wygodne, a kiedy nie – po prostu sobie zniknie. Zapadła w pościel, pełna smutku i rozterki.

Cassidy. Gdzieś już słyszała to nazwisko. Ta myśl dręczyła ją od chwili, gdy usłyszała, że Jay wspomina o tym człowieku. Prześladowała ją i wtedy gdy Lissa wślizgiwała się między prześcieradła i próbowała wygodnie ułożyć.

Już zasypiała, gdy doznała olśnienia. Cassidy! To ten wspaiały adwokat, który wywalczył Joemu opiekę nad Jayem! Człowiek specjalizujący się w sprawach o opiekę nad dzieckiem!

Joe nie mógłby jej tego zrobić! przekonywała sama siebie, usiadłszy sztywno na łóżku. Zaufała mu i on o tym wiedział. Ale ostrzegł ją przecież, że zrobi, co do niego należy.

Planował jej życie, nawet nie pytając o zdanie. Planował nowe zajęcia, które go jej odbiorą. Budując drogę na południu stanu, nie będzie mógł widywać Suzanne. Znalazł więc i na to sposób. Powiedział przecież jasno, że postara się zapewnić małej odpowiedni poziom życia, a ponieważ ona z trudem wiąże koniec z końcem, on jej dziecko po prostu odbierze. Dopnie swego za pomocą dowolnej metody. Jeśli Lissa nie przeprowadzi się do jego domu, zabierze tam przynajmniej dziecko.

Troszczył się o nie z całym oddaniem. Kochała tego mężczyznę, a on zamierza odebrać jej córkę.

Może się myliła, może Joe nigdy nie żywił dla niej żadnych głębszych uczuć. Gdyby było inaczej, nie planowałby tak podłego posunięcia.

Nie zmrużyła oka do rana, wpatrzona w sufit i zapłakana. Zastanawiała się, dokąd uciec, żeby Joe nie mógł jej odnaleźć.

– Jak mogłeś? – szepnęła gniewnie w mrok. – Jak mogłeś tak mnie zranić, choć wiesz, jak bardzo cię kocham?

Rankiem zaryglowała drzwi i nie odpowiadała na pukanie Joego. Dopiero usłyszawszy, że odjechał z Jayem, poprosiła panią McGee o pomoc przy pakowaniu rzeczy osobistych, własnych i Suzanne, i razem załadowały bagaże do samochodu.

Raz już zmieniła wszystko w swoim życiu, może więc to zrobić ponownie, nie bacząc na uczucie bólu, urazy, zawodu. Pragnęła zdobyć Joego. Postawiła wszystko na jedną kartę... i przegrała.

– Wyjeżdżam na pewien czas – poinformowała właścicielkę, oddając klucze. – W odwiedziny do przyjaciółki. Nie mam pojęcia na jak długo. Dam pani znać o terminie powrotu.

Nie wiedziała nawet, dokąd jechać, miała tylko nadzieję, że odegrała tę scenę przekonująco. Odjechała, pozostawiając strapioną panią McGee na werandzie.

Silnik gasł dwukrotnie, ale za każdym razem dawał się ponownie uruchomić. Zatrzymała wóz przed sklepem Duncana. Kiedy weszła do środka, Bonnie Ann stała za ladą.

– Wyjeżdżam na pewien czas – powiedziała Lissa bez wstępów. – Dziś mam wprawdzie dzień wolny od pracy, ale przyszedłam, żeby uprzedzić was, że od jutra już tu nie pracuję.

– Wyjeżdżasz? – powtórzyła nadaśana Bonnie Ann. – Dlaczego? Dokąd?

– Teraz ci nie mogę tego wyjaśnić. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie.

– Ależ, Lisso...

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć, Bonnie Ann. Zadzwoń do ciebie później.

Ruszyła ku drzwiom dokładnie w chwili, gdy Joe wjeżdżał pickupem na parking. Wpadła niemal w popłoch, wiedząc, że nie dojdzie do swego wozu nie zauważona. Nie miała jednak wyboru. Mocniej objąwszy Suzanne, która ponad jej ramieniem machała rączkami do Bonnie Ann, otworzyła zdecydowanie drzwi i pobiegła w kierunku samochodu.

– Lisso! – zawołał Joe, a gdy nie przystanęła ani się nie obejrzała, ruszył za nią biegiem. Dogonił ją, gdy kładła dłoń na klamce.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – Chwycił ją za nadgarstek.

– Odczep się ode mnie wreszcie! – krzyknęła, usiłując wyrwać się z jego uścisku.

– Lisso, co cię napadło? Gdzie byłaś? Szukam cię wszędzie. – Usiłował spojrzeć jej w twarz, ale odwróciła głowę. Nie przegra tej walki. Nie da się podejść. Uparta, dumna i zbuntowana – stanęła spokojnie, plecami do drzwi samochodu. Suzanne zaczęła marudzić, Lissa nie patrząc na Joego pogładziła ją tklawie po główce. – Maleńka moja, o co chodzi? – domagał się wyjaśnień głosem tyleż stanowczym, co łagodnym. – Co się stało?

Dopiero wtedy pozwoliła sobie na niego spojrzeć i serce jej niemal pękło. Nie mogła mu przebaczyć tego, co jej uczynił, ale kochała nadal. Zawsze go kochała.

– Nie dostaniesz Suzanne! – powiedziała, była to jednak raczej prośba niż oświadczenie.

– Ja – Suzanne? O czym ty, kobieto, mówisz?

– Znowu wyciągnął ku niej ramię, ale ujrzawszy wyraz oczu Lissy, na chwilę zamarł w bezruchu. – Lisso?

– odgarnął jej włosy i musnął delikatnie policzek.

– Wiem, kim jest Cassidy – powiedziała, powstrzymując łzy. – Wiem, co zamierzasz.

Nadal niczego nie rozumiał.

– Wiem, że to adwokat, który uzyskał dla ciebie opiekę nad Jayem. Ale ja ci Suzanne nie oddam, Joe. Wszystko mi jedno, ile to będzie mnie kosztować, ja ci jej nie oddam.

Wreszcie zrozumiał, o co Lissie chodzi. Oczy pociemniały mu z gniewu.

– Pomyślałaś... – wybuchnął i na chwilę zamilkł.

– Jak mogło ci przyjść do głowy, że próbuję odebrać ci dziecko? – Jeszcze mocniej zacisnął palce na jej przedramieniu. Ujrzał w jej oczach strach i spuścił z tonu.

– Boże jedyny, oczywiście, że mogłaś tak pomyśleć – mruczał, uwalniając jej rękę. – Wyglupiłem się. Groziłem, znęcałem się, przymilałem i powiedziałem, że zrobię to, co do mnie należy. I ani mi na myśl nie przyszło, że w to wszystko uwierzysz. – Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Kamień spadł jej z serca.

– Chcesz powiedzieć... nie miałeś takiego zamiaru?

– Z ulgą zamknęła oczy.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Nigdy, kochanie, nigdy bym cię nie potrafił tak skrzywdzić. Prędeż bym... Spójrz na mnie, Lisso.

Wyraz jego twarzy niemal ją przeraził, mimo to śmiało patrzyła mu w oczy. Na sam widok tego, co w nich ujrzała, zadrżały pod nią kolana.

– Cassidy – powiedział łagodnie – załatwia mi pewną sprawę. Przepisuję tamten dom na twoje nazwisko.

– Co? Ale dlaczego?

Westchnął i wykonał bezradny gest.

– Dlatego, że zrobię wszystko, co trzeba, żeby cię przekonać, iż na zawsze już wszedłem w twoje życie. Ciągłe miewam roboty gdzieś w terenie. To się nigdy nie zmieni. Ale będę zabierał dziecko i ciebie wszędzie, gdzie tylko to będzie możliwe. A jeśli nie – będę przyjeżdżał tak często, że zaczniesz mnie mieć powyżej uszu.

– Nie – szepnęła, potrząsając głową. – Nigdy nie będę cię miała dość.

– Lisso, jesteś tak niezależna i silna. Mówiłaś o zaangażowaniu, ale nie potrafiłem uwierzyć, że potrzebujesz mnie tak, jak ja ciebie. Czulem, że jestem w tobie zakochany od pierwszego spotkania w sklepie.

– Kiedy obejmował jej twarz, drżały mu dłonie.

– Nigdy żadnej kobiety nie pożądałem tak jak ciebie, moja maleńka. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Chcę się przy tobie budzić każdego ranka, mieć z tobą dzieci i z tobą się zestarzeć.

Ujrzała w jego oczach wszystko, czego tak bardzo zawsze pragnęła. Miłość i oparcie, czyli to, czego potrzebuje kobieta. Miał je dla niej od początku, nie widziała tego, zaślepiona lękiem. Troszczył się o nią i dziecko, ponieważ tego pragnął, a ona widziała w nim tylko mężczyznę, który usiłuje sterować jej życiem. Była zbyt przerażona, żeby dostrzec, że jest w niej zakochany.

– Wybacz – szepnęła, nakrywając jego dłonią swoją dłoń. – Bałam się, że mnie nie chcesz i zaczęłam wierzyć w najgorsze.

– Tu nie ma czego wybacać – odparł łagodnie.

– Już ani słowa o tym. – Zaczął się nawet uśmiechać.

– Nie wiesz przypadkiem, która godzina?

– Ja? – spytała jeszcze drżącym głosem. – Nie mam pojęcia. Dlaczego?

– Musimy schować przed panią McGee wszystkie zegarki, jeżeli mamy się w umówionym miejscu stawić na czas.

– W umówionym miejscu? – powtórzyła, oszołomiona.

– Tak, w umówionym. Na badanie krwi i w kościele, żeby załatwić wszelkie formalności. Zamieszkaś ze mną po ślubie, prawda? – Wyglądał na nieco speszzonego. Rozczulił ją tym.

– O tak – zapewniła. – Obiecuję.

Bonnie Ann wraz z niemałą grupą stałych klientów obserwowała z progu, jak Joe bierze

Lisę w ramiona i nakrywa jej usta spragnionymi wargami. Suzanne wesoło machała rączkami.

## EPILOG

Joe nie mógł uwierzyć, że w jego życiu mogły zajść tak radykalne zmiany. Nie sądził, że się kiedykolwiek powtórnie ożeni. Dziś jednak spieszy się na własny ślub i martwi, czy dobrze wygląda w smokingu. Smoking i typowa przedślubna trema. Zaparkował wóz przed kościołem i, wyskoczywszy z szoferki, potrząsnął głową.

Domyślił się, że to Jay z panią McGee przywiązali do tylnego zderzaka sznur z nanizanymi nań puszkami. Gdy jechał, powodowały niesamowity łoskot. Kiedy przejeżdżał ulicami, ludzie przystawali, gapili się, a wielu machało dłońmi, pozdrawiając pana młodego.

Był rześki jesienny dzień. Niebo chmurzyło się nieco, a on miał wziąć ślub z kobietą, którą kochał.

Lissa stała na najwyższym stopniu kościelnych schodów. Kiedy wynurzył się zza rogu ulicy i ujrzał ją w długiej, powiewnej, różowej jedwabnej sukni, z kwiatami we włosach, opanował zdenerwowanie i uśmiechnął się szeroko.

– Czy już ci kiedyś mówiłem, że jesteś piękna? – spytał, stanąwszy obok niej. – Ale co ty tu, w gruncie rzeczy, robisz? Nie mogłaś poczekać na mnie w kościele?

– Pewnie bym i mogła – przyznała bez oporów. – Nie sądzisz, że przyjechaliśmy na ten ślub za wcześnie albo za późno?

Joe spojrział na niebo.

– Powiedziałbym, że jest około południa. Więc chyba za wcześnie.

– Czy pani McGee nie majstrowała przypadkiem przy twoim zegarku z kalendarzem? – spytała ze współczuciem.

Joe skinął głową i spojrział na przegub.

– Pokazuje północ Wigilii Bożego Narodzenia. Lissa zaśmiała się.

– No bo to jest coś w rodzaju wigilii. To oczekiwanie.

– Owszem – powiedział, objąwszy jej ramię i delikatnie masując. Na tę okazję zdjęto Lissie gips, ale ból czasem wracał.

– Ciekawa jestem, dlaczego nie ma jeszcze księdza – spytała, pochylając się ku niemu.

– Coś mi mówi, że zaniósł swój zegarek do pani McGee, to samo zrobiła organistka i wszyscy mieszkańcy tego miasta – powiedział ze smutkiem. – Jej sklep to, pod pewnymi względami, cholernie udane przedsięwzięcie. Nawet jeśli nikt w mieście nie będzie wiedział, która jest godzina. To tak, jakbyśmy żyli poza czasem, w zupełnym zawieszeniu.

– Aha – zgodziła się Lissa z uśmiechem – ale mnie się to nawet dosyć podoba.

Joe nie miał pewności, czy zmienił się aż tak bardzo, żeby cieszyć się z dokonania pani McGee, ale niewątpliwie był teraz bardziej wyrozumiały.

Przebudował jej dom i zrobił to w umówionym terminie. Pani McGee przeniosła się z siostrą na piętro, a Joe i Lissa z dziećmi do małego domku za miastem.

Przed kościół zajechał samochód, wysiadł z niego kapłan, a tuż za nim organistka.

– Na litość boską! – krzyknęła. – Czyżbym się spóźniła? Zegarek musiał mi stanąć.

Joe spojrział znacząco na Lissę: z trudem powstrzymywała wybuch śmiechu.



– Nie do pojęcia! – lamentowała organistka. – Dopiero co przyniosłam z naprawy mój kuchenny zegar, a już się późni! – Zatrzymała się na ostatnim schodku, wygładziła spódnicę, a ujrawszy Lissę i Joego, uśmiechnęła się sztucznie. – Jesteście taką śliczną parą! – zauważyła.

Wkrótce potem zjawiała się Bonnie Ann; biegła tak, jakby brała udział w jakimś maratonie. Zatrzymała się gwałtownie, w jednej ręce trzymając brzeg długiej sukni, w drugiej kapelusz.

– Upiekłam tort! – oznajmiła. – Na wierzchu zobaczycie parę młodą z marcepanu. Och, bukiet dla was mam w samochodzie! Poczekaj, zaraz go przyniosę, Lisso! Zrobiłam go z orchidei! Wiedziałaś, że w wolnych chwilach hoduję orchidee?

– Bonnie Ann, nie zdziwiłabym się, gdybyś w wolnych chwilach rządziła jakimś krajem Trzeciego Świata – zapewniła Lissa zbiegającą ze schodów przyjaciółkę.

Następni w kolejności przybyli Jay i Suzanne. Dziewczynka popisывała się nową sztuczką: łapaniem równowagi, gdy Jay prowadził ją za rączki ku schodom. Podskakiwała na pierwszym stopniu, wyśpiewując właśnie opanowane sylaby.

– Gdzie pani McGee? – spytał Joe syna. – Przywiozła was tu, a sama czmychnęła?

– Ee tam – odparł Jay. – Powiedziała, że musi wyjąć z kufra prezent dla was.

– Założymy się, co to może być? – spytał Joe, dając Lissie kuksańca.

– Widzieliście, jak udekorowałem pickupa? – spytał Jay ojca. Joe skinął głową.

– Fajnie to zrobiłeś, synku. Ale skąd wzięłeś te wszystkie puszki?

– Pani McGee uczy mnie gotować, tatusiu. Pomagam jej, kiedy ty jesteś w pracy, a Lissa w szkole.

– O, idzie – mruknął Joe pod nosem na widok pani McGee, posuwającej ku nim z dużym pudłem w rękach.

– Znalazłam dla was świetny prezent! – krzyknęła radośnie.

– Nie powinna pani nam nic dawać – powiedziała Lissa, ale ona nie chciała nawet o tym słyszeć.

– Nie, moja droga, na każdym ślubie zawsze wręczam parze młodej taki sam prezent. Żeby wstawali na czas, rozumiesz. – Rozpromieniona, parła naprzód ze swoim pudłem, wołając przez ramię: – To jest rocznicowy zegar. Nastawiłam go osobiście.

Zarówno Joemu jak i Lissie udało się zachować powagę do chwili, gdy weszła do kościoła; potem oboje wybuchnęli śmiechem.

– Nigdy się nie dowiemy, kiedy przypadnie piąta albo dziesiąta rocznica naszego ślubu – powiedziała Lissa i znowu oboje się roześmiali.

Śmiali się jeszcze, witając w asyście Jaya i Suzanne kolejnych gości; ściskali ręce, pozdrawiali przyjaciół, przyjmowali życzenia wszystkiego najlepszego. Spadło kilka kropli deszczu, za mało, żeby ostudzić entuzjazm.

Matka Joego przybyła jako jedna z ostatnich, przystanęła przed wejściem do kościoła, by ich oboje ucałować.

Zagrały organy, Jay wziął na ręce Suzanne. Stawali się rodziną, postanowili, że Jay będzie niósł za nimi Suzanne aż do ołtarza i oboje będą brać udział w ceremonii ślubu do

końca.

– Możesz się jeszcze wycofać – poradził Lissie uśmiechnięty Jay.

– Nie da rady – szepnęła z powagą. – Bonnie Ann tak się natrudziła nad tortem, że wystrzelałaby nas wszystkich do nogi.

Joe podał Lissie ramię, przyjęła je, ruszyli, po czym, nagle zaskoczona, pomyliła krok.

– Ta muzyka – zauważyła – to przecież Dinah Washington!

Joe skinął z uśmiechem głową.

– *Deszczowy wrzesień*. Dałem nuty organistce wczoraj wieczorem. Szybko się uczy.

Przypomniała sobie taniec z Joem w kuchni. To było wspaniałe! Uśmiechnęła się do niego, zakochana bardziej niż kiedykolwiek.

– No, panno Gray – szepnął i pocałował ją. – Pora iść.

Oddała mu pocałunek pełen miłości. Suzanne śmiała się radośnie, tuląc się do Jaya.